**Miesięcznie 1 zł**
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. **30** groszy

# Moje Powieści

## ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 4 lipca 1937 r.* Nr. 27

# WYZNANIE

Czyś jawą jest, czy snem —
o nie wiem, luba...
Że postać masz cheruba —
to jedno wiem...

Czyś przeznaczeniem mem —
o nie wiem, miła...
Żeś mojem szczęściem była —
to jedno wiem...

Nie wiem, kto w sercu twem
jako wybraniec gości..
Ginę z miłości...
To jedno wiem....

E. J.



# MIŁOSNE

**WOJCIECH HOLM**

38)

# Nienawiść a miłość

*czyli tajemnica zamku Felseg*

Wszystko do góry nogami, — gderała. — Naprzód nie idzie spać, po tym nie wstaje. Kawy nie wypił, a to grzech marnować dary Boże. Wolę sama ją wypić.

Tymczasem Sperling pojechał do instytutu anatomicznego.

W dużej sali o kilku oknach stał tuż przy drzwiach stół, na którym leżał trup wyciągnięty z Dunaju.

Musiał długo leżeć w wodzie, bo widać było ślady ukąszeń ryb i raków.

Mimo, że niemiła woń trupa i zgniła atmosfera zapierała oddech Sperlingowi i przeprawiała go o mdłości, postanowił pozostać w sali.

Na drugim stole leżał przykryty białym prześcieradłem trup młodej kobiety, która wśród strasznych mąk skonała w szpitalu.

Z pod prześcieradła wystawała sucha, koścista, przeźroczysta prawie dłoń. Ręka ta pracowała za życia na chleb, bez odpoczynku, a teraz miała już wieczny spokój.

Gdy Sperling zapytał o trupa owej poćwiartowanej niewiasty, zaprowadził go sługa szpitalny do jednego z licznych stołów i zdjął prześcieradło.

Z westchnieniem ulgi szepnął Sperling natychmiast:

— „To nie ona!"

Wprawdzie kobieta ta była może trochę podobna do Sylwii, ale włosy jej były bardzo długie, Sylwii zaś obcięto włosy w chorobie i jeszcze jej nie odrosły zupełnie. Nie miała też plam wątrobianych, które zmarłej wyraźnie widniały na policzku.

Stojąc smutny i zamyślony, nie zwrócił Sperling uwagi, że ktoś wszedł na salę, kierując się w jego stronę.

Drgnął, gdy do tego samego stołu, przy którym stał, przystąpiła jakaś zawoalowana dama, i zobaczywszy zmarłą, mimowoli prawie szepnęła:

— „Bogu dzięki!"

— Kogo pani się tu obawiała znaleźć? — zapytał nagle Sperling, a gdy kobieta w zakłopotaniu nie odpowiadała, ciągnął dalej:

— Czy nie spodziewała się pani tu znaleźć pannę Sylwię Herbert?

Dama zadrżała, widocznie zaskoczona tym pytaniem, ale zaprzeczyła.

Mimo to Sperling powziął podejrzenie i postanowił dowiedzieć się, kim ona jest.

Szedł więc za nią, ale ona jakby zauważyła, że ją śledzi, starała się zniknąć mu w tłumie, co się jej też udało.

Widząc, że stracił ją z oczu, Sperling tymbardziej nabrał przekonania że ta niewiasta wie coś o Sylwii, i miał rację, gdyż była to nasza dobra znajoma, lekkomyślna Janka, chwilowa bogini pana Stasia, seniora.

Sperling ogromnie był zirytowany na siebie, i im bardziej brała w nim górę myśl, że ta dama mogłaby go objaśnić co do Sylwii, tym więcej wyrzucał sobie, że jej pozwolił umknąć.



**Królowa Bułgarii Joanna, córka italskiej pary królewskiej, urodziła dnia 16 czerwca syna, obdarzając tym samem naród swój następcą tronu. Powyżej widzimy królową z jej mężem, królem Borysem i ich maleńką córeczką, księżniczką Marią Luizą.**

Postanowił sobie znaleźć ją za wszelką cenę.

Nastąpiła teraz epoka kilkutygodniowa, najprzykrzejsza w jego życiu, gdyż zwykła jego zmyślność nie doprowadzała go do celu.

Żaden tragarz kolejowy, żaden dorożkaż, żaden urzędnik nie mógł sobie przypomnieć, żeby widział damę podobną do opisu Sperlinga.

W żadnym hotelu jej nie było. Na policji także nie była meldowana.

Gdzież więc poszła?

Naprożno agent trudził się dzień i noc, aby dać sobie odpowiedź na to pytanie.

Ambicja jego cierpiała. Wstyd wobec Herbertów i współczucie dla ich bólu, pobudzały go do tym intensywniejszej działalności.

Włóczył się więc dzień i noc po Wiedniu, szukając Sylwię, lub przynajmniej ową damę, którą poznał w instytucie anatomicznym.

Jednakże wszystkie jego zabiegi pozostawały bez skutku, aż pewnego razu, gdy wieczorem przechodził obok cukierni Serziniego zauważył wychodzącą stamtąd damę, która mu w ruchach i postaci zupełnie przypominała tamtą.

Przyśpieszył więc kroku, by pójść za nią, ale ona musiała to zauważyć, gdyż zaczęła iść bardzo szybko, ażeby mu ujść.

Byłby jej nie dogonił, gdyby nie przypadek, który mu przyszedł z pomocą.

Dama owa spotkała towarzystwo podochoconych młodzieńców, którzy zobaczywszy ją, wybuchnęli głośną wesołością.

Otoczyli ją w koło wołając:

— Patrzcie! Piękna Janka!

Janka, która obawiała się stosunków z dawnymi znajomymi, gdyż Hai byłby jej to wziął za złe, chciała młodzieńców wprowadzić w błąd.

— Panowie się mylą! — rzekła zmienionym umyślnie głosem: — Panowie wzięliście mnie za kogo innego.

— Ho, ho, — zaśmiał się jeden z towarzystwa — Janka chce z nas durni robić! Nie uda ci się to, mała!

Objął ją w pół.

W tejże chwili jednak przystąpił do grupy Sperling.

— Przepraszam pana bardzo — rzekł spokojnie, ale stanowczo, — ta pani jest w moim towarzystwie. Byliśmy razem w cukierni Serziniego. Ja pozostałem w tyle, bo musiałem zapłacić rachunek i zagadałem się ze znajomym.

Słysząc te słowa, wojowniczy młodzieniec puścił Jankę natychmiast; poczym Sperling wziął ją pod ramię i poprowadził, jak gdyby rzeczywiście była jego dobrą znajomą.

## ROZDZIAŁ CXL.

Nazajutrz, po powrocie z miasteczka, zaczął Mayer rzeczywiście pomagać Brinkmannowi i to tak dzielnie, że w niespełna dwa tygodnie, pod topolami na brzegach Mississippi, leżały znowu ogromne stosy drzewa.

Tymczasem Zuzia dowiedziała się, będąc u sąsiadki Frorenz, że mąż jej wybiera się do miasta po zakupy.

Wypytała go dokładnie kiedy wyrusza i którą drogą będzie szedł, i tego samego dnia wyniosła dokądś z domu zawiniątko niektórych swoich rzeczy.

Nazajutrz rano pani Brinkmann widziała, że nakłada najlepszą swoją suknię i wychodzi z domu.

Pokiwała głową, patrząc za nią w tej myśli, że ta leniwa niewiasta pewnie znowu poszła do sąsiadki.

W południe, gdy Mayer z Brinkmannem wrócił do domu i zapytał o żonę, powiedziała, że pewno znowu siedzi u pani Frorenz.

Mayer złościł się w pierwszej chwili, lecz później rzekł z goryczą, machnąwszy ręką:

Ostatecznie wszystko jedno, czy ona próżnuje tu, czy tam.

Tymczasem Zuzia nie poszła do Frorenzów z obawy, że pani Frorenz domyśli się, co zamierza uczynić, tylko poszła po zawiniątko do chaty Samba, gdzie je schowała, i poczekała na drodze na Frorenza.

Gdy nadjechał, poprosiła go, aby ją wziął do miasta, bo ma robić zakupna, a ten, nie przypuszczając nic złego, zabrał ją chętnie.

Po drodze myślała sobie, że w Ameryce o rozwód bardzo łatwo.

Postanowiła więc rozwieść się z mężem i wyjść drugi raz za mąż, conajmniej za barona.

Czuła się już tak dalece wielką damą, że przybywszy do miasteczka traktowała poczciwego Frorenza jak lokaja.

Gdy zaproponował jej swą opiekę w czasie wędrówki po magazynach odpowiedziała mu:

— Niech się pan nie trudzi, ja już sobie sama dam radę!

Ale niech się pani nie spóźni, bo o 3-ciej ja chcę wracać do domu!

— Dobrze, dobrze! — odpowiedziała Zuzia, zabierając się do odejścia razem ze swoim pakunkiem.

Frorenz był zły i zdziwiony brakiem z jej strony uprzejmości.

A niech pani nie zapomni, w którym hotelu stoimy! — zawołał za nią i poszedł po zakupy.

Zanim jednak załatwił wszystkie swoje interesa, było już prawie około 4-tej.

Wracając do hotelu myślał, że Zuzia już pewno długo na niego czeka, i ucieszył się, gdy się dowiedział, że jeszcze nie wróciła.

Zjadł obiad i zapalił cygaro, czekając cierpliwie.

Ale gdy była już 5-ta godzina, a Zuzia się nie pokazywała, zaczął się niecierpliwić, a wreszcie kląć.

Za moje dobre serce, to — gderał — taką mam zapłatę! Gdybym wiedział, nie byłbym jej brał z sobą!

Musiała zabłądzić — mówiła gospodyni — chociaż to dziwne, bo całe Wilsonstown jest bardzo małe!

Pójdę jej szukać! — rzekł gniewnie i chwyciwszy czapkę, wyszedł.

W żadnym jednak kramiku całego miasteczka, w żadnym z czterech hoteli, nie widziano kobiety takiej, jaką opisywał farmer Frorenz.

Wrócił więc zły okropnie do hotelu, gdzie musiał nocować, gdyż było już zapóźno wracać.

Nazajutrz, zły był jak diabeł, i klnąc rzekomą niedbałość Zuzi, pojechał bez niej do domu.

Tymczasem Mayer walił siekierą w pnie odwiecznych drzew dziewiczych lasów z taką zaciekłością i z tak ponurym wejrzeniem, jak gdyby walczył ze swymi śmiertelnymi wrogami.

Nagle zbladł i wpatrzył się w ziemię osłupiałym wzrokiem.

Gdy bowiem nadzwyczaj silnym uderzeniem zamierzył się w drzewo, pękła mu na palcu obrączka ślubna i upadła na ziemię.

O, to zły omen: — zawyrokował smutnie i pracował dalej z większą jeszcze zaciekłością i z gniewnie zaciśniętymi zębami.

Po powrocie do domu rozglądał się po izbie trwożnym wzrokiem.

— Żony pańskiej nie ma! — powiedziała mu Brinkmannowa. — Byłam u sąsiadki Frorenz i pytałam się o nią, ale powiedziano mi, że tam jej dziś nie było!

Musiała zabłądzić po drodze do niej — zawołał Brinkmann.

A suknie jej są? — zapytał z trwogą Mayer.

Niebieską, liliową, żółtą i czerwoną zapakowała wczoraj i wyniosła gdzieś z domu — odezwała się cieńkim głosem Maryńcia.

Mayer zatoczył się, jak gdyby pod silnym uderzeniem obucha. Podskoczył do kufra, gdzie miał jeszcze 10 dolarów pozostałych ze sprzedaży drzewa.

Pieniędzy nie było!

Upadł na krzesło i zaczął płakać jak dziecko. Własna jego żona opuściła go i okradła!



Wszyscy obecni patrzyli na niego z ogromnym zakłopotaniem.

Mała Maryńcia rzuciła mu się na szyję i z załzawionymi oczyma prosiła:

— Nie płacz wujeczku, my cię także będziemy kochać!

On nie słyszał nawet tego.

Brinkmannowa zabrała dziecko i po cichu, na palcach wyszła z mężem z izby.

Gdy po długim czasie wrócili, siedział Mayer jeszcze w tej samej pozycji.

Przesiedział tak aż do rana, a gdy słońce wzeszło wstał i poszedł z siekierą do lasu.

Wieczorem przyszła do pani Brinkmann pani Frorenz i usprawiedliwiała się, że mąż jej wrócił bez Zuzi, gdyż nie mógł się jej doczekać. Zresztą z jej powodu stracił już dzień cały.

— Jakto! — zawołała pani Brinkmann — ona z mężem pani pojechała do miasta?

— Naturalnie, przecież pan Mayer kazał prosić...

— Kłamstwo, bezczelne kłamstwo! — zawołała pani Brinkmann — nikt z nas o tym nic nie wiedział! Powiadam pani, że to jest niegodziwe stworzenie. Nie jest ona warta swego męża. Mówię pani, że zawsze tak się dzieje, iż najgorsze kobiety dostają jak najlepszych mężów!

Pani Frorenz pożegnała się szybko, gdyż śpieszyło się jej do domu.

— Mój mąż wróci na kolację — mówiła — a jak mnie nie zastanie, to będzie się gniewał.

Pani Brinkmann poszła do Mayera do lasu i radziła mu, żeby natychmiast pojechał do Wilsonstown, to może udałoby mu się Zuzię jeszcze znaleźć.

Mayer ponuro potrząsł głową.

— Nie będę jej zmuszał, aby wracała, bo na nic mi się to nie przyda; przy bliższej sposobności ucieknie znowu. Ona sama kiedyś do mnie wróci!

Pogadanka ta odbyła się w lesie.

Gdy wszyscy troje wracali do domu, wybiegła naprzeciw nich mała Maryńcia.

— Jakiś pan jest u nas! — zawołała — i dał mi cukierki. Czeka on na pana Mayera.

Mayer zaczerwienił się, sądząc, że to ktoś od Zuzi.

W chacie zastał jakiegoś rudego, chudego pana, który spytał:

— Czy mam zaszczyt mówić z panem Mayerem?

— Proszę! — odpowiedział tenże — czym mogę służyć?

ROZDZIAŁ CXLI.

**Ani szczęścia ani gwiazd**

Proszę teraz szanownego czytelnika, aby się cofnął do owego spotkania się Loli z Leonem.

Podczas gdy kochająca się dawniej para zajęta była poważną rozmową i roztrząsaniem swego wzajemnego stosunku, w cyrku oczekiwano Leona już z niecierpliwością.

Dyrektor Ferier siedział na zwykłym swym miejscu za areną i spoglądając co chwila na zegarek, mówił niecierpliwie:

— Chciałbym wiedzieć, gdzie ten smyk Leon się obraca? Już dawno minął czas, w którym powinien był wystąpić. Musiałem z jego winy zmieniać cały program. Co sobie właściwie ten człowiek myśli? Wyłaję go porządnie, za jego niepunktualność!

Obok dyrektora stała Leokadia w zgrabnym kostiumie, gotowa już do występu. Cieszyła się niewymownie tym, że się Ferier tak na Leona gniewał. Bo Oliwier miał słuszność; baletnica była od owego wieczorku nieubłaganą nieprzyjaciółką Waldaua, tym bardziej, że on nie zadawał sobie wcale trudu, aby ją udobruchać.

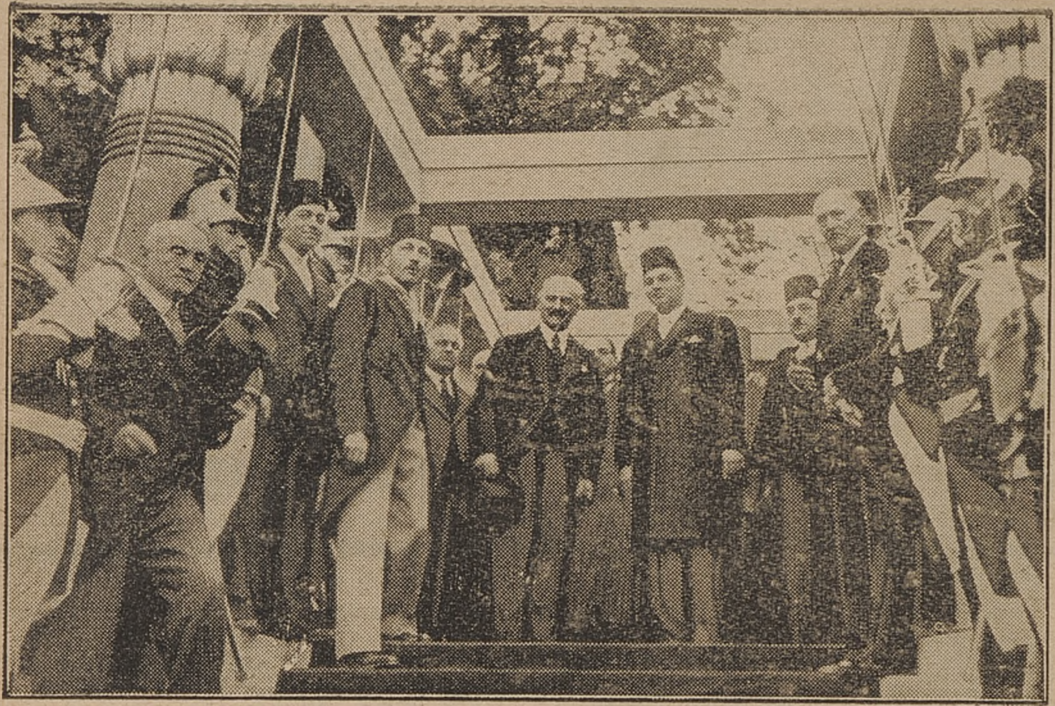
Leokadia poprzysięgła mu więc zemstę, a z amorami swojemi zwróciła się znów do dawnego swego kochanka, gimnastyka Toma, którego Leon zaćmił swoją zręcznością.

Postanowiła sobie uniemożliwić dalszy pobyt Leona w cyrku, nazywając go zarozumiałym, nadętym żebrakiem.

Podsycała więc jeszcze złość Feriera, spowodowaną opóźnieniem się Leona.

— To jest rzeczywiście niesłychane — wtórowała dyrektorowi. — Jaki to despekt dla pana dyrektora! I żeby to przynajmniej był artysta! Ale ta jedna, jedyna sztuczka z parasolem już się sprzykrzyła wszystkim, a numer wczorajszy bardzo źle mu się udał.

Tom o wiele lepiej to robił i w ogóle poprawia się coraz bardziej. Ten Leon zaś nigdy do niczego nie doprowadzi.



Farouk, król Egiptu osobiście uczestniczył przy otwarciu pawilonu swego kraju na światowej wystawie w Paryżu. Na podwyższeniu widzimy króla Farouka w towarzystwie prezydenta Francji p. Lebrun.

W tej chwili przystąpiła pani dyrektorowa.

I jej żywa sympatia dla pięknego błazna ochłonęła już dawno, pod wpływem nieuprzejmego znalezienia się Leona. Słyszała ona jeszcze ostatnie słowa Leokadii i przyklasnęła im, mimo, że nie żyła w zgodzie z piękną baletnicą.

— Tak, tak, Raulu — przemówiła do męża — Leokadia ma zupełną słuszność. Ty szkodzisz sobie tym, że dajesz takiemu człowiekowi występować na arenie. On przecież absolutnie nic nie umie. Wczoraj na przykład się wprost skompromitował. Ani jedna para rąk nie podniosła się do oklasku, gdy opuszczał arenę. A zasady tego człowieka już są wprost straszne!

To mówiąc zawróciła oczyma, dając tym do zrozumienia, że Leon i do niej się zbliżał z nieczystymi zamiarami.

Wprawdzie zasady jego pesonelu były dyrektorowi Ferierowi bardzo obojętne, ale mimo to kiwał poważnie głową podczas wywodów tłuściutkiej swej małżonki.

Ferier postanowił sobie zerwać z Leonem, gdyż nowy klown zawiódł jego oczekiwania.

Publiczność bowiem coraz chłodniej przyjmowała jego produkcję, gdy tylko urok nowości przeminął, a dyrektor dziwił się mocno Oliwierowi, że jako rutynowany artysta cyrkowy, mógł Leona tak gorąco polecać.

Jeżeli dyrektor Waldauowi dotychczas nie wypowiedział, to uczynił to tylko ze względu na Oliwiera. Teraz jednak powziął nieodwołalne postanowienie pozbyć się niezdolnego klowna i zmniejszyć liczbę swych artystów, bo jego stosunki finansowe w opłakanym były stanie.

Tego samego dnia rano ofiarował mu jakiś indyjski kuglarz swe usługi i, nie było to pofarbowany i imitowany, ale prawdziwy brązowoskóry, ciemnooki indianin. Produkcje, którymi się dyrektorowi zaprezentował były interesujące.

Sankib, indianin, był bowiem pogromca węży. Grą na flecie zwabiał je tak, że przypełzawszy do niego, owinęły się naokoło jego ciała i muskały twarz jego swymi rozwidlonymi językami.

Gdy umilkł, płazy zsunęły się z jego ciała i ukryły się napowrót do kosza, z którego się pojawiły, a gdy indianin po chwili pokazał kosz dyrektorowi, wężów tam już nie było. Znikły bez śladu, jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej.

Zachwycony tą produkcją Ferier zaangażował go natychmiast, mimo ogromnej gaży, jaką zażądał. Spodziewał się bowiem zrobić jeszcze przy tym bardzo dobry interes.

Kazał wydrukować duże reklamowe afisze z aznajmieniem sensacyjnego wystąpienia Sankiba, poskromiciela węży.

Z tego powodu podwyższył naturalnie ceny wstępu.

Podczas gdy pani Ferier i Leokadia podniecały ostrymi słowami gniew dyrektora, co zresztą wcale nie było potrzebne, wszedł prędko Leon i z krótkim ukłonem chciał przejść obok nich do garderoby.

— Hej, panie! — zawołał na niego Ferier, zatrzymując go — Jak pan śmiesz przychodzić o trzy kwadranse za późno?

Mówił to w tonie bardzo podniesionym, ale groźny wzrok Leona zmitygował go trochę.

— Zatrzymano mnie — odpowiedział Leon zupełnie chłodno.

— Ciekawym, co pan powie, gdy zatrzymam panu gażę — odpowiedział dyrektor.

— Od pierwszego może pan sobie iść, bo pan nic nie umie! Nie mam ochoty płacić panu daremnie, bo pan nic a nic nie umie. Mój najmłodszy syn potrafiłby to samo, co pan robi.

Leokadia i pani Ferier myślały że Leon będzie błagał i prosił, aby go zostawić. To samo myślał dyrektor Ale omyliła się szlachetna trójka.

Leon bowiem wcale nie okazał najmniejszego zakłopotania. Przeciwnie, rzekł zupełnie spokojnie i nader grzecznie:

— Panie Ferier! Podzielam pańskie zdanie co do tego, że najpewniej będzie, jak się rozstaniemy. Nie wiem tylko, po co mam zostawać do pierwszego. Proszę raczej o zwolnienie mnie natychmiast.

— Tym lepiej! — odpowiedział dyrektor; w duszy wściekał się ze złości, że mu się nie udało upokorzyć Leona.

Ale zapłatę wyliczę panu naturalnie tylko do dzisiejszego dnia, nie za cały miesiąc.

— Naturalnie, odpowiedział Leon.

Najchętniej byłby zrezygnował nawet i z tego, ale musiał zapłacić rachunek hotelowy i wyrównać dług zaciągnięty u Oliwiera.

Dyrektor, po długim liczeniu, wypłacił mu należytość i Leon wyszedł z cyrku z uczuciem pewnej ulgi i zadowolenia.

W domu napisał serdeczny list do Oliwiera, dziękując mu za okazaną życzliwość i prosząc o dobrą pamięć, jaką i on o nich zachowa.

List ten oddał Barbarze. Śpiącą Ninon pocałował w czoło i zapłaciwszy rachunek w hotelu, z węzełkiem rzeczy swoich w ręku, szybko wyszedł z hotelu.

Nie chciał się bowiem spotykać z Oliwierem, obawiając się, że go zechce zatrzymać.

Noc była jasna, gdy wyszedł na gościniec za miastem.

Szedł przed siebie bez planu, szepcąc machinalnie:

Ani gwiazdy, ani szczęścia.

## ROZDZIAŁ CXLII.

### Niewinny spisek

Hrabina Nostitz siedziała w swoim staromodnym buduarze, gdy jej zameldowano gościa i podano wizytówkę z napisem:

Książę Piotr Petöfy II.

Za chwilę zjawił się w salonie czarny Petöfy i skłonił się bardzo nisko.

— Jaką jest przyczyna tego szczególnego zaszczytu, książę? — zapytała.

— Jedynie tylko życzenie — odpowiedział uroczyście — żeby się dowiedzieć o zdrowie pani hrabiny.

— Książę — książę — rzekła hrabina Nostitz, grożąc mu filuternie palcem — proszę mnie nie wprowadzać w błąd! Cóżby książę szukał u takiej starej baby, jak ja?!

Zanim gość miał czas odpowiedzieć, wszedł znowu lokaj, niosąc wizytówkę.

Hrabina czytała:

— Książę Piotr Petöfy I.

Kazała prosić.

Brzęcząc ostrogami i szablą, wszedł czerwony Petofy i zaczął się witać z gospodynią, nagle jednak, zobaczywszy kuzyna, oniemiał ze zdziwienia.

— Ty tu, Piotrze? — zapytał.

— Jak widzisz, Piotrze — odpowiedział tamten chłodno.

— Skądżeż ty się tu wziąłeś? Z czym tu przychodzisz?

— Z tym samem, co ty. Pozwoliłem sobie złożyć uszanowanie pani hrabinie.

Hrabina zaprosiła ich, aby usiedli i zdradzili wreszcie, jaka dyplomatyczna misja sprowadziła ich do niej.

— Pani hrabino — odpowiedział czarny Petöfy uroczystym głosem — zwracam się do pani z całym zaufaniem.

— I ja także — dorzucił prędko drugi.

— Bardzo pochlebne dla mnie — rzekła hrabina wesoło — ale o co chodzi?

— Jestem ogromnie zakochany — spowiadał się czarny Petöfy.

— I ja — powtórzył jak echo rudy.

— Moi panowie — odpowiedziała hrabina filuternie — przysięgłam sobie, że w stanie wdowim wytrwam aż do śmierci.

— Zresztą, dlaczego do mnie właśnie zwracacie się z tym?

— Bo pani jesteś jedyną osobą, która mi może pomóc.

— I mnie — dorzucił rudy.

— Ciekawam bardzo! — zawołała hrabina.

— Niech mi pani hrabina przyrzeknie pomoc, zanim się wyspowiadam — prosił czarny Petöfy.

— O, ten egoista — zawołał rudy — i o mnie tu także chodzi, proszę pani.

— Panowie — rzekła hrabina, patrząc na nich poważnie — obraziłabym was śmiertelnie, gdybym was naprzód zapytała, czy to, do czego żądacie ode mnie pomocy, jest słuszne i honorowe. Wolę więc od razu przyrzec, że zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Podała im rękę na znak zgody i czekała na wyjaśnienie.

Teraz jednak młody, zuchwały oficer uczuł pewne onieśmielenie.

— Mów ty pierwszy, Piotrze — zawołał do kuzyna.

— Nie — ty mów pierwszy — odpowiedział starszy kuzyn.

— A więc — rzekł z pewnym wahaniem czarny Petöfy — chciałem panią prosić, aby pani była łaskawa dać mi od czasu do czasu sposobność zetknięcia się z moją ubóstwianą.

— I ja także — zawołał rudy Petöfy z wielkim zapałem.

— Dobrze, książę — rzekła hrabina trochę zafrasowana — ale dlaczego książę nie złożył wizyty wprost u tej osoby, w jej domu?

— Byłem tam raz i drugi i nie przyjęto mnie — odparł czarny Petöfy trochę zmartwiony.

— I mnie — zawołał rudy — czyśmy przypadkiem wzajemnie nie chcieli sobie przeszkadzać?

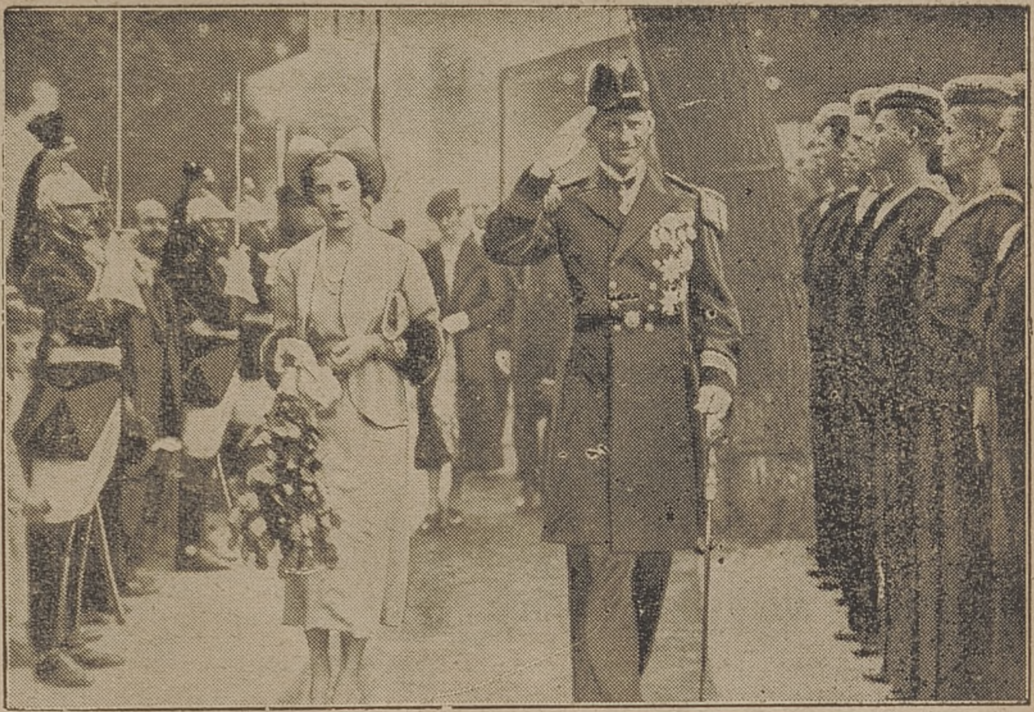
— I mnie się tak zdaje — rzekła hrabina — powiedźcie panowie lepiej od razu, kto to jest ta pani.

— Pani Waldau — odpowiedzieli obaj równocześnie.

Na te słowa hrabina zrobiła minę bardzo niezadowoloną.

— Panowie — rzekła poważnie — obawiam się, żem się zanadto pośpieszyła z przyrzeczeniem. Przede wszystkim powiedźcie mi, jakie macie wobec niej zamiary?

— O, pani hrabino — zawołał czarny Petöfy. — Zamiary mam wobec niej bardzo poważne. Kocham ją, jak się kocha piękny obraz lub wspaniałe dzieło sztuki. Uwielbiam tę piękną kobietę z całej duszy i wierzę, że pod jej wpływem stałbym się lepszym. Proszę nie



Między innymi ważnymi osobistościami świata politycznego i arystokratycznego przyjechał na wystawę paryską duński następca tronu z żoną swoją, księżniczką szwedzką, Ingrid.

myśleć, pani hrabino, że robię sobie płonne nadzieje. Wiem, że ona dla mnie jest nieosiągalną! Po pierwsze, nie jest ona wolną, po drugie, staroszlacheckie moje nazwisko nakłada na mnie obowiązki. Żaden Petöfy nie śmie żenić się z mieszczanką. Życzę sobie tylko widzieć to ciche stworzenie od czasu do czasu, bo czuję, że pod jej wpływem stałbym się szlachetniejszym i lepszym. Niczego więcej nie pragnę pani hrabino, proszę mi wierzyć.

W twarzy jego tyle było szczerości, że hrabina wzruszona podała mu rękę i rzekła:

— Wierzę księciu w zupełności.

Nie spostrzegła szyderczej i pogardliwej miny na twarzy rudego Petöfyego, ani złowrogiego błysku jego oczu i stosując zeznanie czarnego Petöfyego także do niego, podała i jemu serdecznie rękę.

— Ależ, jak to urządzić, książę? — zapytała znów wesoło — czy wydać bal dla was? Od 20-tu lat już nie robiłam tego. Wątpię też czy pani Waldau, która obecnie jest w żałobie, przyszłaby na takie huczne przyjęcie.

— Ależ pani hrabino! — zawołał czarny Petöfy — mała herbatka w ścisłym kółku, zupełnie wystarczy. Będzie nawet o wiele swobodniej.

— Może tylko ze mną sam na sam... — żartowała znowu staruszka. — Nie chcę jednak być tą złą, starą czarownicą z bajki, lecz przeciwnie, ową dobrą wróżką, która uszczęśliwia wszystkich, zbliżających się do niej ludzi. Obiecuję wam więc solennie, moi panowie, że jeszcze tego tygodnia zaproszę was w przyjemnym towarzystwie na herbatkę. O jedno tylko proszę, żebyście mojej protegowanej głowy nie zawracali. Hortensja jest naturalna i swobodna i będzie się z wami, moi panowie, wesoło bawiła. Nie obawiam się też tak bardzo o moją młodą przyjaciółkę, bo poznałam, że ona całym sercem lgnie jeszcze do swego niewiernego, Bóg wie, gdzie wałęsającego się męża. Mimo to jednak, chcę być ostrożną i ostrzegam was, mości książęta, ostrożnie z ogniem!

— Przyrzekamy święcie, pani hrabino — zawołał czarny Petöfy ze szczerym zapałem.

— I ja — powtórzył rudy jego imiennik, ale oczy błyszczały mu nieprzyjemnie.

Po kilku minutach wesołej rozmowy, panowie pożegnali się i odeszli.

Gdy staruszka sama została, zamyśliła się głęboko. Czyż bałaby się skutków tego niewinnego spisku?

— Nie! — pomyślała sobie, wypogodziwszy dobrotliwą swą twarz. — Nie mam powodu martwienia się. Hortensja się ubawi, obu książętom wkrótce się to znudzi i na tym koniec.

## ROZDZIAŁ CXLIII.

### Co postanowiono w izdebce starej szwaczki?

Gdy cienki głos kobiecy zawołał „proszę", weszła Ida nieśmiało do izdebki.

Panna Jetka stała przy małym, obdartym kuferku i wkładała do niego różne suknie i bluzki.

Przerwawszy tę robotę, włożyła stare swoje okulary na duży nos i wpatrywała się ostro w spóźnionego i nieśmiele wchodzącego gościa.

Z początku nie poznała Idę, bo młoda dziewczyna zmieniła się bardzo w ciągu dwóch lat ostatnich, w których jej Jetka nie widziała.

Była dawniej chuda, zielona i niezgrabna, teraz zaś miała piękną, proporcjonalną figurę, zgrabne ruchy i delikatną, przejrzystą, matową cerę, która cudnie odbijała od koralowych i świeżych jej ust.

— Czy mnie pani nie poznaje, panno Jetko? — zapytała piękna dziewczyna — jestem przecież Idą Steinert.

— Ida! — krzyknęła stara krawczyni, załamując ręce ze zdziwienia — mówiłam to zawsze, że panienka będzie bardzo ładna, ale nie myślałam, że tak bardzo!



Powyżej czołowa kolumna żołnierzy z wojska generała hiszpańskiego Franco, pośpiesznie kładzie tor pod kolej, a często także naprawia szosy i drogi, straszliwie zniszczone w tej przewlekłej bratobójczej wojnie.

Spojrzawszy na pakuneczek Idy, domyśliła się, co się stało.

— Panienka uciekła, co? — zapytała ze złośliwą radością.

Ida skinęła głową na znak potwierdzenia.

— Spodziewałam się tego prędzej czy później — rzekła Jetka z zadowoleniem — dziwię się tylko, że panienka w ogóle tak długo wytrzymała z tą starą czarownicą. Ale, proszę, niech się Ida rozgości. Przepraszam bardzo, panno Ido.

— Nie — nie — prosiła młoda dziewczyna — proszę mnie nazywać poprostu jak dawniej, Idą.

— Nic panienka się nie zmieniła? — stwierdziła stara krawczyni.

— Mój Boże, z jakiego powodu miałabym być dumną — odpowiedziała młoda dziewczyna — jestem najnieszczęśliwszym i najbardziej opuszczonym stworzeniem na całym Bożym świecie. W biedzie swej udałam się do pani, panno Jetko.

— Dobrze, że sobie panienka mnie przypomniała — przerwała jej Jetka serdecznie — chce panienka u mnie przenocować?

— Chciałam właśnie o to prosić — odparła młoda dziewczyna.

— Bardzo chętnie. Prześpi się panienka wybornie na mojej kanapie — odpowiedziała Jetka — ale cóż to się panience stało, że drży na całym ciele? — dodała po chwili.

— Zimno mi — odpowiedziała Ida — byłam zamknięta w swej izdebce i nie miałam nic od samego rana w ustach.

Panna Jetka oburzyła się na tę niegodziwość.

— Ta stara jędza zamknęła panienkę? To całkiem do niej podobne — zawołała i zaczęła się krzątać około sporządzenia Idzie jakiejś wieczerzy.

Postawiła blaszankę z wodą na spirytusową maszynkę, zmełła kawę, nakryła mały stolik obrusem, położyła chleb, masło i przyniósłszy jeszcze dzbanuszek z mlekiem, i filiżankę, rzekła z uniewinnieniem:

— Nie mogę panience dać wiele, ale czym chata bogata, tym rada. Nie mam dużo zapasów, bo jutro rano wyjeżdżam, a teraz jest już za późno, abym mogła coś kupić.

— Ależ filiżaneczka kawy wystarczy mi najzupełniej — zapewniała ją Ida.

— Panienka na szczęście nie jest zepsuta — rzekła Jetka, a spojrzawszy baczniej na nią dodała: cóż to za sińce ma panienka na twarzy?

Ida zaczerwieniła się i spuściła oczy, a panna Jetka domyśliła się natychmiast, co się stało.

— Ależ to okropne — zawołała — ta stara jędza mogła się tak dalece zapomnieć! Jakżeż to przyszło do tego?

Ida opowiedziała jej wszystko.

— Oni chcą, żeby panienka wyszła za Teobalda? Patrz, patrz! — zawołała stara krawczyni zdziwiona — W tym coś musi być! Musieli się Hajowie dowiedzieć, że panienkę czeka jakiś wielki spadek.

— To niemożliwe! — zawołała Ida. Nie mam ani grosza. Pani Hai często mi wypominała, że jestem biedna, jak mysz kościelna!

— Możliwe, że obecnie panienka jeszcze nic nie ma — odparła Jetka zamyślona — ale to pewne, że musi panienka mieć widoki na jakiś wielki spadek. Znam panią Hai od przeszło trzydziestu lat i wiem, że ona by się za nic w świecie nie zdecydowała przyjąć biedną dziewczynę w dom swój jako synową. Kochana Ido, daję swoją głowę za to że w tym tkwi jakaś wielka tajemnica!

Mówiła to w jakimś proroczym natchnieniu, ale słowa jej nie wywarły wrażenia na młodej dziewczynie.

Ida zaprzeczyła, kiwając niedowierzająco głową.

Tymczasem zaczęła woda kipieć i Jetka zabrała się do zaparzania kawy.

Podczas gdy Ida pokrzepiała się jadłem i napojem, stara panna siedziała obok niej w milczeniu. Wreszcie zapytała:

— Jakie plany na przyszłość ma panienka?

— Chcę sobie znaleźć jakąś posadę — odpowiedziała Ida z wahaniem.

— O, to bardzo trudno, kochana panienko — rzekła panna Jetka. — Po pierwsze nie ma panienka żadnych papierów legitymacyjnych; po drodze, po trzebne jest pisemne pozwolenie opiekuna; po trzecie, nie ma panienka żadnych świadectw, a po czwarte, panienka tak nędznie jest ubrana, że odstraszałoby to wszystkich.

Ida musiała przyznać słuszność tych argumentów, przeto odezwała się po chwili, onieśmielona i przybita:

— Jakżeż zarobię sobie na życie? Do pani Hai nie wróciłabym za nic w świecie. Wolałabym wskoczyć do Dunaju.

— Ja także nie radzę panience wrócić do tej starej jędzy! — zawołała Jetka — bo ona mściłaby się okrutnie za tę ucieczkę. Miałabym dla panienki inną radę.

Jutro przyjeżdżają po mnie z sanatorium doktora Salisa. Niech panienka narazie ze mną tam jedzie, jako moja pomocnica. Pani Willemer ma zawsze dla mnie czterey do sześciu tygodni zajęcia, gdyż pacjentki i pacjenci tamtejsi niszczą bieliznę, suknie, i obrusy z serwetkami w straszny sposób.

Co do mnie zaś, nie oddalam się chętnie na tak długi czas z Wiednia, bo tracę z powodu tego swoją klientelę. Gdybyśmy więc jutro pojechały obie razem do sanatorium, przedstawiłabym panienkę jako swoją pomocnicę, przykroiłabym i przysposobiła wszystko i mogłabym panienkę tam zostawić, a samą wrócić do Wiednia.

Tam panienkę nikt o papiery nie zapyta, a praca będzie. Zarobi panienka narazie dwadzieścia do trzydziestu złotych a później zobaczymy, co się znów da zrobić.

— Jaka pani dobra, panno Jetko! — zawołała uradowana Ida i z wdzięcznością uścisnęła rękę starej panny.

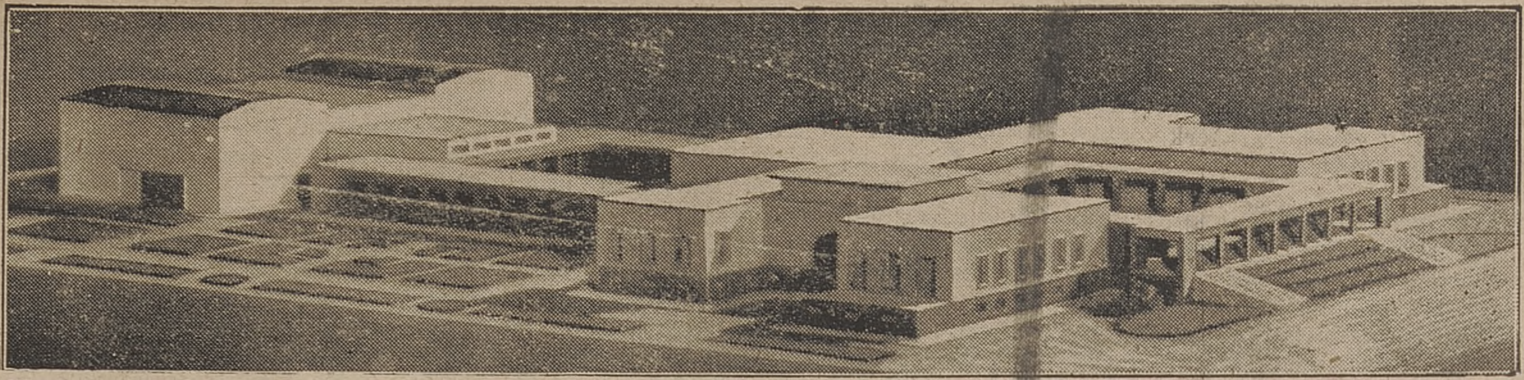
— A więc zgoda — rzekła Jetka zadowolona — a teraz pomyślimy o jakiejś sukienczynie dla panienki, bo w tym stroju, a raczej w tych łachmanach, nie mogę panienki zaprezentować w sanatorium.

Musimy dziś jeszcze przerobić jedną z moich sukienek dla panienki. Mam też parę ślicznych bucików, które są na mnie za małe, a dla panienki w sam raz będą. Proszę złożyć swoje buciska, kochana Ido, i włożyć moje.

Mówiąc to, wyjęła z szafy parę zgrabnych trzewików, które były jakby Idzie na miarę zrobione; po tym przyniosła ładną brązową wełnianą sukienkę i dała Idzie do przymierzenia. Lecz wisiała ona jak worek wokoło smukłej postaci Idy.

Jetka wzięła tuzin szpilek i zaczęła podpinać, tę suknię, robiąc przy tym bardzo ważną minę.

— Na Boga! — szepnęła pełna podziwu — panienka pewno nie ma więcej jak 50 centymetrów w pasie. A w dodatku nie nosi nawet gorsetu.



Model ogromnego studio filmowego, budowę którego projektuje Mussolini.

— Noszę gorset, ale sama go sobie na drutach zrobiłam — odpowiedziała Ida.

— Ręczę panience — zapewniała ją Jetka — że gdyby panienka porządnie się ubierała, to byłaby najładniejszą panną w Wiedniu. Już ja panienkę wyekwipuję.

— Ależ ja nie mam więcej jak dziesięć złotych — wtrąciła Ida nieśmiało — a to mi z pewnością nie wystarczy!

— Niech to już będzie moją troską, zawołała Jetka żywo. — To panienkę nic zgoła nie będzie kosztować. I ja mogę się raz komuś przysłużyć. Cieszę się, że mam, chwała Bogu, na to!

To rzekłszy, zdjęła ze swej pupilki suknię, którą szpilkami ponaznaczała i spostrzegła przy tym łańcuszek z włosów, który Ida zawsze pod suknią nosiła. Medalionu jednak nie zobaczyła, gdyż Ida chowała go zawsze pod gorsetem.

— Co to za łańcuszek — spytała Jetka ciekawie.

— Jest to pamiątka po moich zmarłych rodzicach odpowiedziała Ida z głębokim westchnieniem.

— Tak, tak — mruknęła Jetka i zaczęła stebnować szwy stanika na maszynie.

. . . . . . . . . . .

Jednak po niespełna pięciu minutach, usłyszała z obu stron pukanie sąsiadów do ściany.

Z prawej strony wołał przenikliwy głos kobiecy:

— Noc jest do spania, a nie do pracy!

Zaś z lewej strony krzyczał basowy głos męski:

— Nie ma pani znów czasu do spania? Pani nawet do umierania czasu zbraknie.

Na to zaczęła Jetka wymyślać:

— Ja całymi dniami i nocami zmuszona jestem słuchać krzyków i wrzasków dziecinnych, ale jak sama się kiedyś poruszę, to zaraz rozpacz wszystkich wokoło ogarnia! Po co ja właściwie płacę ten ciężko zarobiony czynsz? Zresztą wybieram się jutro rano w podróż i muszę się przygotować do tego. Cały dzień pracuję dla obcych ludzi, a swoje rzeczy zmuszona jestem w nocy oporządzać. Wolę pracować przez całą noc, niż chodzić z powydzieranymi rękawami, jak to niejedni w kamienicy czynią.

Ta stara wiedźma musi zawsze mieć ostatnie słowo, burknęła sąsiadka Jetki z prawej strony.

— Niech się pani za młodu powiesi, kiedy pani nie chce się postarzeć! — odcięła się Jetka.

Wygadawszy i wykłóciwszy się dowoli, zabrała się teraz Jetka ze zdwojonym zapałem do pracy.

— Możebym ja to wszystko ręką zeszyła? — zapytała Ida.

— Jeszcze tego by brakowało, abym się wiecznie oglądała na tę hołotę tu wokoło! — rzekła pogardliwie. — Ci z prawej strony, o tych nawet mówić nie warto. Nie mają oni nigdy grosza przy duszy, bo skoro trochę pieniędzy dostaną, to nie mają spokoju, dopóki wszystkiego nie wydadzą. Ale przestańmy mówić o tym i niech panienka się przekona, czy staniczek już dobrze teraz leży.

Ida włożyła suknię, a Jetka oglądnęła ją okiem znawcy, a potem rzekła:

— W ramiączkach trzeba jeszcze będzie podnieść, a będzie świetnie leżało. Proszę zebrać o cały centymetr do szwa, a ja tymczasem pościelę panience na kanapie!

W kwadrans później panowała cisza i ciemność w izdebce starej krawczyni.

Biedna, bezdomna młoda dziewczyna spoczywała spokojnie w miękkim puchu, ukołysana pięknymi snami.

## ROZDZIAŁ CXLIV.

### Nowe koleje

Nazajutrz spała Ida jeszcze spokojnie, gdy panna Jetka opuściła bez szmeru swoje łóżko i, ubrawszy się pośpiesznie, wyszła po mleko i świeże bułki.

Dopiero pryskanie ognia zbudziło Idę z głębokiego snu. Usiadłszy na łóżku, oglądała się ciekawie wokoło, bo była jeszcze taka zaspana, że nie umiała sobie zdać sprawy z tego, skąd się tu wzięła.

Po kilku sekundach dopiero przypomniała sobie, co się stało i posmutniała.

Miała uczucie młodego ptaszęcia, które wypadło z gniazdka i nie może znaleźć schronienia przed podmuchami ostrej zimy.

Obchodzono się z Idą wprawdzie nieludzko w domu pod Złotym Aniołem, mimo to jednak uważała ona dom Haiów za swój dom rodzinny i odczuwała wielką przykrość na samą myśl o rozstaniu się z nim.

Starała się, o ile to było w jej mocy, opanować swój żal i smutek, aby nie obrazić uprzejmej swej gospodyni.

Gdy się ubrała i uczesała, wzięła się Ida do sprzątania, podczas gdy Jetka sporządzała śniadanie.

Po wspólnym śniadaniu, rzekła Jetka:

— Dam panience swoją czarną chustkę i czarny koronkowy kapelusz, w którym panience bardzo będzie do twarzy. O godzinie ósmej przyjedzie po nas powóz z sanatorium. Mamy zaledwie tyle czasu, aby obmyć naczynia po śniadaniu, bo już trzy kwadranse na ósmą. Wezmę jeszcze kilka z moich sukien, które panience już w sanatorium przerobię, a łachów starej Haiowej proszę nie zabierać, bo to byłoby dla panienki kompromitującym.

— Nie mogę doprawdy przyjąć tylu dobrodziejstw — rzekła Ida wzruszona lecz Jetka nie chciała o żadnej odmowie słyszeć.

Wkrótce zajechał przed bramę wspaniały powóz.

Kilkanaście głów kobiecych ukazało się od razu w oknach sąsiedniego domu.

— To jest nasz powóz — zawołała Jetka tonem, jak gdyby była conajmniej właścicielką tego pięknego powozu.

Ida włożyła chustkę i kapelusz, który Jetka przygotowała dla niej, wzięła kufer i swój węzełek i zeszła z Jetką po schodach.

— Zdaje się, że sobie Jetka przyjęła pomocnicę — rzekła jedna z kumoszek stojących na ulicy.

— Świetnie jej się powodzi — rzekła druga kuma z zazdrością. — Jakie piękne powozy po nią przyjeżdżają.

Jetka rzuciła obu plotkarkom pogardliwe spojrzenie, po czym wsiadły z Idą do powozu i odjechały.

Podczas jazdy, obie panie były zamyślone i mało ze sobą rozmawiały.

Ida myślała o markizie, który pozostał we Wiedniu i którego może nigdy więcej nie zobaczy.

Jetka znowu rozkoszowała się myślą, że będzie mogła swej śmiertelnej nieprzyjaciółce, pani Hai, spłatać figla.

Gdy wreszcie powóz zatrzymał się przy sanatorium, Ida dostała gwałtownego bicia serca z obawy, że będą się tu dopytywać, co ona za jedna i zażądają dokumentów.

Obawy jej były płonne.

— Pani Willemer — rzekła Jetka do zarządczyni — pozwoliłam sobie przywieźć pomocnicę, bo muszę, niestety, za kilka dni już wracać do Wiednia. Babka jednej z moich klientek jest bowiem niebezpiecznie chora i gdyby umarła...

— Tak — przerwała jej Willemerka obojętnie. — Jeżeli mi pani tę młodą dziewczynę poleca, to musi ona być zręczną i dobrą robotnicą. Po śniadaniu pokażę paniom, co tu będzie do roboty, a do izdebki pani każę wstawić jeszcze jedno łóżko dla pomocnicy pani.

To rzekłszy, opuściła Willemerka pokój.

Po chwili wniosła jedna z dozorczyń sute śniadanie, a Jetka dogadywała swej młodej przyjaciółce ciągle, aby jadła i piła.

Z dniem tym, dla biednej sieroty zaczęło się nowe życie. Trzeba było wprawdzie przez cały Boży dzień od rana do późnego wieczora pracować, ale do tego Ida była przyzwyczajona.

Natomiast dobry wikt i delikatne obchodzenie się, jakiego tu w sanatorium doznawała, były dla Idy czymś nowym i nieznanym. Pani Hai nie przyzwyczaiła ją bowiem do tego.

Tutaj nikt jej nie czynił wyrzutów z tego, że była biedną.

Nikt jej tu nie łajał i nie obrażał.

Pani Willemer, przekonawszy się, że Ida była rzeczywiście zręczną i pilną, nie zwracała więcej na nią uwagi.

Miała zresztą inne troski, niż zajęcie się jakąś tam młodą szwaczką, która nienagannie wykonywała swą pracę i w niczym jej nie zawadzała.

Po tygodniu Jetka, która się zawsze w sanatorium okropnie nudziła, oświadczyła, że musi wracać już do Wiednia z powodu wypadku śmierci w jednej z rodzin, u której z dawien dawna szyje.

— Pojmie to pani — rzekła do Willemerki — że szycia sukien żałobnych odkładać nie można. Zresztą pozostawiam tu pani moją pomocnicę pewną będąc, że ona panią zadowoli swoją pracą. Gdyby zaś życzyła pani sobie jakąś nową suknię, to mogę za kilka dni powrócić.

— Nie potrzeba mi na razie żadnej nowej sukni — odpowiedziała jej Willemerka — a co do innej roboty, jest mi to wszystko jedno, kto ją załatwia, byleby była zrobiona. Ta młoda dziewczyna będzie musiała jeszcze pozostać u nas przez święta.

— Zostanie pani u nas? — zwróciła się do Idy w tonie, który nie znosił oporu.

— Bardzo jestem pani wdzięczna za powierzenie mi tej roboty — rzekła Ida skromnie.

— A co do płacy, to będzie pani pewnie zadowoloną — rzekła Willemerka, której podobała się skromność Idy.

Jetka uradowana tak pomyślnym obrotem rzeczy, spakowała na prędce swoje manatki, pożegnała się serdecznie z Idą, dawszy jej na odjezdnem z tuzin różnych przestróg, i wróciła do Wiednia.

Ida pozostawała odtąd sama w małej szwalni sanatorium.

Od czasu do czasu dolatywały do jej uszu krzyki, jęki i dzikie, nieartykułowane głosy biednych umysłowo - chorych.

Z początku czyniło to na niej okropne wrażenie, ale w końcu przyzwyczaiła się i do tego.

Ida prowadziła tu życie prawie więzienne, bo opuszczała swoją izdebkę, po całodziennej pracy dopiero, gdy już było ciemno.

Wtedy przechadzała się po dużym, pustym w czasie zimy ogrodzie, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Pokrzepiona takim spacerem, wracała do swego samotnego pokoiku i pracowała dalej przy lampie do późnej nocy.

Ta monotonia życia działała bardzo uspokajająco na nadwyrężone jej nerwy. Blada jej twarz zarumieniła się, oczy nabrały żywego blasku, a usta były czerwone jak korale.

Dozorczynie otaczały ją nadzwyczajną życzliwością i odwiedzały skromną i ładną dziewczynę często w jej pracowni.

Lubiły ją za to, że była bardzo usłużna i chętnie przystrajała im suknie i odświeżała kokardki.

— Widzi pani, panno Ido — rzekła do niej dozorczyni Fryderyka, gdy jej pewnego poranka przyniosła śniadanie — to się pani chwali, że pani czasem i dla nas coś uszyje, ale dla Willemerki nie potrzebuje się pani tak trudzić. Ona nawet nie spostrzega tego, że się pani tak namęczy przy tej pracy, bo jest ona czym innym zajęta.

Mówiąc to, zaśmiała się szyderczo.

— Nie rozumiem was, Fryderyko. Czem pani Willemer jest tak zajęta? — zapytała Ida, patrząc badawczo na mówiącą.

Dozorczyni przysunęła sobie krzesło do Idy i, padłszy na nię ociężale, zaczęła szeptać:

— Jeżeli paani mnie nie zdradzi, to opowiem pani romans, panno Ido.

— Nie — będę dyskretną — zapewniała ją Ida z uśmiechem.

Fryderyka uspokojona tym przyrzeczeniem, zaczęła opowiadać:

— Przed kilkoma tygodniami przywiósł tu niejaki pan Cohen, starszy mężczyzna, swoją wnuczkę do sanatorium. Dziewczyna była cudnie piękna i tak pociągająca, że wszystkim naszym panom natychmiast pozawracała głowy. Tego nie mogła znieść naturalnie pani Willemer i omal że nie pękła z zazdrości i zawiści. Mimo to, objęła pielęgnację pacjentki. Ale stan chorej nie polepszał się. Przeciwnie, pogarszał z dnia na dzień. Wreszcie zasłabła tak, że doktor Warner i pan dyrektor musieli na zmianę czuwać przy jej łożu. Willemerka usunął dyrektor w delikatny sposób z pobliża chorej dziewczyny. Dyrektor powiedział jej, że ona przemęcza się zanadto i powinna teraz odpocząć. Myślimy tu wszyscy, że dyrektor chce się ożenić z piękną swą pupilką, że to uczyni, jak ona wyzdrowieje. Będzie to okropny cios dla Willemerki, gdyż ona sama chciała się wydać za dyrektora Silasa.

— Ależ dyrektor nie zechce przecież żenić się z obłąkaną? — zawołała Ida.

Zanim jednak dozorczyni mogła odpowiedzieć, weszła pani Willemer do pracowni.

Fryderyka zerwała się prędko, zebrała ze stołu naczynia ze śniadania i opuściła pokój.

— Wprawdzie dotychczas naprawiała, tylko pani i łatała bieliznę — rzekła pani Willemer do Idy — ale sądzę, że potrafi pani uszyć samodzielnie wygodny, luźny szlafroczek?

Ida potwierdziła. A mogła się tego podjąć, gdyż uczyła się szycia u Jetki, a później szyła sama dla pani Hai wszystkie suknie.

— Przed kilku tygodniami przywiózł tu niejaki pan Cohen swoją wnuczkę — opowiadała Willemerka Idzie. — Dziwnym sposobem przywiozła młoda dziewczyna ze sobą do sanatorium tylko małą walizę z bielizną, a jej dziadek zapomniał o reszcie garderoby dla niej. Napisał wczoraj z Turynu do dyrektora Silasa, że podróż jego długo jeszcze potrwa i prosił go dlatego, aby na jego rachunek sprawił to wszystko z garderoby, co będzie wnuczce jego potrzebne. Młoda dziewczyna jest jeszcze bardzo chora, wystarczy więc na razie wygodny szlafroczek, aby go mogła włożyć zaraz, gdy opuści łóżko. Uszyje jej więc pani ten szlafroczek, a teraz proszę pójść ze mną do pacjentki, aby jej wziąć miarę.

Ida wzięła centymetr, ołówek i kawałek papieru i wyszła za panią Willemer do skromnie urządzonego pokoju, w którym na śnieżno białej pościeli blada i z przymkniętymi oczyma, leżała cudnie piękna dziewczyna.

— Ta pani śpi! — szepnęła Ida, patrząc ze wzruszeniem i współczuciem na bladą, prześliczną twarz chorej — może przyjdę później?

— Szarloto, jak długo ta panienka już śpi? — zapytała Willemerka umyślnie bardzo głośno i ostro.

Chciała tym głośnym pytaniem zbudzić chorą i udało jej się to całkowicie.

Sylwia otworzyła swe duże, niebieskie oczy i patrzyła nieprzytomnie na obecnych.

Potem szepnęła trwożliwie:

— Gdzie jest Werner? Zaprowadźcie mnie do Wernera. Obiecaliście mi to i tylko pod tym warunkiem przyjechałam tu do was, że się z nim zobaczę!

— Proszę się uspokoić, panno Cohen! — uspokajała ją Szarlota, ale zirytowana dziewczyna przerwała jej niecierpliwie:

— Jak często mam ci powtarzać, że się nazywam Sylwia Herbert i nie jestem żadną krewną tego oszusta Cohena. Nie nazywaj mnie nigdy tym tak nienawistnym imieniem.

— Jak wielmożna panienka rozkaże — odparła Szarlota pokornie — czy nie wstałaby panienka teraz na chwilę, aby krawczyni mogła wziąć miarę na szlafrok? — dodała, prosząc.

— A kto obstalował dla mnie ten szlafrok? — spytała Sylwia.

— Rozumie się samo przez się, że dziadek pani — odpowiedziała pani Willemer zimno.

— Niech pani tego nędznika nie nazywa moim dziadkiem — zawołała Sylwia, trzęsąc się z oburzenia — On jest tak samo moim dziadkiem, jak jest dziadkiem pani.

— Nie sprzeczajmy się o to — odparła pani Willemer, w trochę szyderczym tonie. — Proszę przede wszystkim wstać i pozwolić wziąć sobie miarę.

— Nie, — rzekła Sylwia stanowczo, nie zrobię tego. Nie upokorzę się tak nisko, aby nosić suknię, którą mi sprawił i zapłacił ten nędznik.

(Ciąg dalszy na stronie 537)

# *Kraina szczerości i naszych trosk*

***Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu***

## OBÓZ OPOZYCYJNY ZWYCIĘŻYŁ!

Interesująca ankieta — czy zamieścić moją fotografię, czy nie — przeprowadzona ostatnio w „Krainie", miała dla mnie bardzo obsorbujący przebieg. Były bowiem chwile, kiedy szala zwycięstwa przechylała się na stronę obozu opozycyjnego, to znowu na stronę drugiego obozu, głosującego za zamieszczeniem mego zdjęcia i po tym znowu: jak biały deszcz padały listy z kategorycznym „tak", a coraz mniej przychodziło listów z opozycyjnymi „nie". Wreszcie nadszedł dzień zsumowania poszczególnych głosów i cóż się okazało? — Na 354 głosy opozycyjne było tylko 181 głosów za ukazaniem się zdjęcia. Chcąc więc być konsekwentną, fotografii mej nie zamieszczę i pozostanę nadal tajemniczą i dla każdego taką, jaką mnie sbie w swej wyobraźni stworzył.

Tym, których życzenia ziściły się, przesyłam serdeczne pozdrowienia, a tym, których spotkał zawód, oprócz pozdrowień, ślę słowa dobrej nadziei, że to, co teraz spełzło na niczem, może kiedyś stać się znowu aktualne i sprawa obecnie przegrana może zwyciężyć.

Osób głosujących, tak, jak to było przewidziane, nie wymieniam, gdyż zabrałoby to dużo cennego miejsca w „Krainie", przeznaczonego na odpowiedzi dla Sympatyków.

Zofia.

## PAMIĘTAMY WSZYSCY!

*„Czarny Hajduczek"*. Kochany, mocno kochany „Hajduczku". Ktoby nie pamiętał Ciebie — pamiętamy wszyscy. I doprawdy, miły mi jest fakt, że za przyczyną „Krainki" nawiązałaś szereg miłych korespondencyj, a głównie z „Małą Konwalijką", z którą poznałyście się niedawno osobiście i zaprzyjaźniłyście się jeszcze bardziej.

Mówi Pani, że „Mała Konwalijka" jest najmilszą z dotąd poznanych koleżanek — ach, bardzo mnie to cieszy! I tak! nie mylisz się „Czarny Hajduczku", że i ja ją kocham.

Całuję „Hajduczka" serdecznie i zamieszczam Jego komunikaty:

„Mała Konwalijko" — pamiętasz Gniezno i nasze poznanie? Całuję Cię — pa!

„Biała Uajali" — dziękuję gorąco za życzenia świąteczne i czekam na długi list. Ściskam mocno.

„Dumko" — ja również cieszę się, że spotkamy się nad morzem. Oby jak najszybciej!

Całuję Cię, Droga „Nuno".

„Przedwiośnie". Jak z egzaminami? Gorąco — co? Życzę Ci powodzenia i całuję serdecznie.

Halo, „Blanko"! Znasz mój adres, więc napisz, a rewanż pewny. Ja także chcę Cię poznać, więc... czekam. Pozdrawiam i ściskam łapki.

„Cis". Dziękuję za życzenia świąteczne. Proszę wybaczyć, że dopiero teraz, ale nie miałam okazji. Pozdrawiam.

„Dzince", „Marunie", „Hajduczkowi", „Zbijobrukowi poznańskiemu", „Sportsmence", „Maleńkiej Dzidzi", „Duśce", „Bajce", „Wirrytowi", „Orliczowi", „Fakirowi", „Czarnemu Drypsowi", i Sympatykom z Poznania — przesyłam miłe pozdrowienia".

## HALO! SYMPATYCY Z GNIEZNA I ŻNINA!

*„Dziecię lasów i pól"*. Dziękuję za miłe słowa pod moim adresem. Z chęcią pomogłabym Pani w nawiązaniu wartościowej korespondencji, któraby dała Jej zapomnieć o troskach dnia i wierzyć w lepsze jutro, nie wiem tylko, czy uda nam się to (Pani i mnie) tak szybko.

Czy Pani długo pozostanie w wymienionej miejscowości i czy wolno mi wymienić miejsce chwilowego zamieszkania? Zasadniczo utrzymuję w ścisłej tajemnicy adresy moich Kochanych Przyjaciół z „Krainy", dlatego nie wiem jak uczynić w wypadku dotyczącym Pani.

Może mi zechcesz, Droga Dziewczynko, napisać dokładnie, a z przyjemnością postaram się zapoznać Cię z kimś takim, o którym marzysz.

Już teraz apeluję do wszystkich „Krainiaków", o listy dla „Dziecka lasów i pól", które kocha wszystko co wzniosłe i szlachetne i jest wysoką, miłą blondynką.

Nowa nasza koleżanka przede wszystkim pragnie poznać kogoś z Gniezna lub Żnina, a w ogóle prosi o dużo, dużo listów, na które szybko obiecuje odpowiadać.

Narazie ja sama pozdrawiam serdecznie, a w najbliższej przyszłości będę miała wielu współtowarzyszy w tej czynności. Prawda drodzy moi?!

## „ODPOWIEM NA KAŻDY LIST!"

*„Baron Cygański"* — ten nowy pseudonim stanie się wkrótce znanym i bliskim, jak wiele innych w naszej „Krainie". Ale pozwólmy przemówić naszemu nowemu znajomemu:

„Halo! Tu „Baron Cygański" — zabłądziłem do nudnego miasteczka na Pomorzu i czuję się tu bardzo opuszczony. Może któraś z sympatyczek „Krainy" zechciałaby nawiązać ze mną korespondencję? Odpowiem na każdy list.

Pozdrowienia serdeczne przekazuję dla „Zadumanej Bajki", „Królowej Awanturnicy" — zdaje się, że Panią znam.

„Janko z Pelplina", czy my się znamy?

A „Niezapominajka z Pomorza", czy istnieje Pani jeszcze i współżyje z „Krainą"???

Specjalne pozdrowienia zasyłam całemu „Obozowi cygańskiemu".

Wymienione panie usilnie proszę o skreślenie kilku słów do mnie".

Mam przeczucie, że będzie Pan otrzymywał masę listów i życzę Panu, aby uczuł się mniej samotny.



— Czy jeszcze kiedyś spełnią się ciche marzenia i przyjdzie do mnie radość? — myśli **„Boluś"** i zapomina o tym, że na fotografii każdemu najładniej z uśmiechem.

## MYŚLĘ, ŻE JEST TO MĘCZĄCE

*„Biały Zwid"*. O, miły „Zwidzie", życzliwe serce masz tu i będziesz miał zawsze, jak zawsze czeka Cię tu chęć zrozumienia duchowych Twoich przeżyć i sercowych zmagań. I nie myśl nigdy, że czynisz źle, iż lubisz ten piękny sad, w którym — zdaje się — przeżyłeś cudne chwile i doznałeś głębokich radości.

Czy źle, że niepamięcią nie zasnułeś tamtych dni? Myślę, że nie jest to tyle złe, ile męczące. I... raczej roztropniej byłoby rzucić na to lekką, pajęczą zasłonę, niechby otuliła wszystko tamto, co nie uszczęśliwiając, durzy umysł i zmysły, jak piękne lecz zatrute zioła. Sił Panu to rozpamiętywanie nie doda i szczęścia nie wróci — więc raczej otulić to w pachnący welon dawnego zachwytu i schować w najgłębszy kącik serca. Niech sobie w nim leży spokojnie, aż do bezpiecznej chwili starości, która bez bólu umie wspominać i rozpamiętywać bajeczne przeżycia młodości.

Wolę już, gdy poetycznie myślisz o nowych ludziach i nową zajmujesz się sprawą.

Warto, aby Pan nie zarzucał pracy nad sobą i rozwijał bezsprzecznie istniejącą w Nim iskierkę talentu, który się wyraża zarówno w poniższym wierszyku, jak w dwu innych, które umieszczę później, a narazie pozwalam Wujkowi Januszowi zabrać je troskliwie do teczki do czasu, aż będą znowu aktualne. To znaczy, gdy nadejdzie złota jesień i zakwitną znowu czereśnie.

„Biały Zwid" dziękuje „Złotemu Słoneczku z Pomorza" i twierdzi, że napiszę.

Dalej, woła: „Orliczowi", aby wzleciał wreszcie lotem pokrewnych sobie orłów i... „Cudnej Nieznajomej", za słodki uśmiech z okien wagonu na stacji Pabianice o zmierzchu pierwszego czerwonego dnia — poświęca:

„Ten uśmiech Twoich cudnych warg
Przyniósł wspomnienie dawnych dni,
Wygasły szept bez słów i skarg
I zapomniane dawno sny...
Ten uśmiech Twoich cudnych warg
Zniknął, gdzieś w dymów mgle.
Lecz wróci znów nim przyjdzie świt
Nocą w baśniowym śnie.

## BARDZO CHĘTNIE...

*„Stepowy płomień"*. Bardzo chętnie przyjmuję Pana do „Krainki". Oczywiście nie mam nic przeciw wybranemu przez Pana pseudonimowi. Jest ładny.

Nie wie Pan, jak miło mi myśleć, że wejście do naszej „Rodzinki" uważa Pan sobie za dobro, a nawet... ma Pan nadzieję, że przyniesie to Mu szczęście.

Proszę wierzyć, że tajemnicy adresu dochowam skrupulatnie.

A teraz umieszczam Pana apel, wpierw jeszcze serdecznie Go pozdrawiając.

Uwaga! Kochani „Krainiacy":

„Czytelniczki i Czytelnicy, którzy lubicie muzykę i śpiew — napiszcie do mnie, a otrzymacie zawsze odpowiedź.

Jestem młody, ciemno blond włosy, oczy siwe.

Lubię dobroć i prawdę. Dlatego też charaktery podobne będą miały pierwszeństwo w korespondencji ze mną.

Zasyłam pierwsze pozdrowienia „Królewnie Bałtyku", „Kolorowemu Motylowi", „Carmen" oraz wszystkim Czytelnikom.

## ADRES

*„Ja — Nina"* ma w redakcji list — proszę o adres!

## CZEKAMY CIERPLIWIE!

*„Smutny Sztubak"* przesłał mi ostatnio bardzo krótki liścik, gdyż i jego ogarnęła gorączka egzaminów szkolnych. Przyrzeka jednak, że wkrótce napisze do nas wszystkich więcej — czekamy więc cierpliwie!

List, przeznaczony dla „Polnej Różyczki II", otrzymałam, a dla Wujka Janusza jeszcze nie nadszedł.

Sama za pozdrowienia uprzejmie dziękuję i wzajemnie zasyłam uścisk dłoni.

A teraz jeszcze coś Pana dla „Krainy":

Pozdrawiam serdecznie Irkę i Zosię z Poznania, „Polną Różyczkę II" (list wkrótce), „Samotnego Stefa" i „Romantycznego Śpiewaka".

„Jance" ściskam łapięta. Tak źle nie myślałem. Ciekawy jestem, gdzie spędzisz tegoroczne wakacje?

Wszystkim Smutnym dużo radości!!!

## POSTARAM SIĘ UCZYNIĆ ZADOŚĆ...

*„Jasieńka"*. Napozór wydaje się, że straciła Pani bardzo wiele, a ja myślę, że nic Pani nie straciła. Bo czyż może przedstawiać jakąś wartość człowiek, który ni stąd ni z owąd rzuca swoją młodą narzeczoną i żeni się z inną? Chyba nie, niech więc Pani, „Jasieńko", nie rozpacza, tylko stara się być za wszelką cenę dzielną. Dobrych i szlachetnych chłopców jest dużo na świecie, więc znajdzie sobie Pani jeszcze godnego towarzysza życia, który będzie

docenial uczucia Pani i nie okaże się chwiejnym jak lotny puszek.

W smutku Pani i moralnej rozterce pragnę być Pani przyjaciółką, proszę więc, niech P. pisze do mnie dużo i szczerze — ile razy przyjdzie ochota.

„Czuję, że pani mnie zrozumie i pocieszy"... — piszesz „Jasieńko". Co do pierwszego, to możesz być zupełnie pewną, drugiemu zaś postaram się uczynić zadość, ile będzie w mej mocy.

Pisz więc i przyjm ode mnie siostrzane uściski!

Dla „Krainy" od „Jasieńki":

„Niebieskooka Zinko", dziękuję Ci za pozdrowienia i przesyłam Ci również moc pozdrowień i uścisków.

„Lusię — Szczebiotkę" — mocno całuję! Pozdrawiam także „Romantycznego Cygana" i „Starego Kawalera". Tego ostatniego bardzo proszę o liścik".

## CZYŚ ZADOWOLONA?

*„Banialuka"*. Moja mała, niecierpliwa siostrzyczko — dowiesz się wkrótce, jak się rozstrzygnie „walka obozów". Myślę, że w dwu ostatnich tygodniach tego miesiąca nastąpi ta ważna decyzja. Czyś zadowolona? To pięknie! A teraz całuję Twój przemiły buziak i pozwalam Ci wołać do „Krainiaków".

„Mariko"! Nie mogę dozcekać się listu, więc proszę Cię bardzo o zadedykowanie mi jakiegoś wierszyka. Podobał mi się ogromnie Twój wierszyk, wydrukowany kiedyś na okładce.

„Biniu M." Ślę Ci dużo buziaków. Niedługo zjawię się znowu w Poznaniu, to sobie połazikujemy.

Całemu „bractwu" z Pobiedzisk, dużo pozdrowień".

## JESTEŚ NAJMILSZYM DZIECKIEM

*„Zbijobruk poznański"*. Kochana Dziewczynko przyjmij moje podziękowania za przesłane mi serdeczności — jesteś najmilszym dzieciakiem i lubię Cię ogromnie i Twoją siostrzyczkę również. Pamiętajcie znowu „popełnić" list do nas; t. zn. do „Rodzinki" i jej opiekunki, Zosi.

Dołączam komunikaty:

„Przedwiośnie" — zdaje się, że jesteśmy koleżankami po fachu. Ślę Ci dużo pozdrowień.

„Marzący Sfinksie" — musisz być, Chłopczyku, bezgranicznie dobrym, zaco ściskam Ci mocno prawicę i proszę o list.

„Zdobywco Serc II", ślę Ci pozdrowienie, napisz do mnie".

## NA PEWNO...

*„Dor — On."* Przyjmujemy Pana z przyjemnością do „Krainki" i na Jego uśmiech powitalny odpowiadamy równie szczerym i przychylnym.

Fotografię umieszczę później, a na poufne odpowiadam, że napewno znajdzie Pan to, czego szuka w korespondencji z „Krainiakami". Życzę Panu tego i wierzę, że właśnie tak będzie.

Może która z kochanych Sympatyczek „Krainy" napisze do „Dor — On'a", gdyż jest on naprawdę miłym chłopcem i poważnie bierze życie, a przyrzeka odpisywać szybko. Adres jego: poste - restante, „Dor — On", Lisnowo, pow. Grudziądz.

Narazie zasyłam Panu mocny uścisk dłoni i serdeczne słowa sympatii.

## ZAPYTANIE

*„Smutne Serce"* — pyta naszych drogich Sympatyków, oraz wszystkich Czytelników, czy któryś lub któraś z nich, nie zna kogoś z okolicy Dubna lub Brodów, gdyż pragnie korespondować z mieszkańcami wymienionych miejscowości.

Poza tym, zasyła miłe pozdrowienie mieszkańcom ziemi śląskiej.

## PROSZĘ NADESŁAĆ MI ADRES!

*„Kopciuszek"*. Bardzo mi miło poznać i zaprezentować „Rodzince" nową siostrzyczkę, która podchodzi do nas z główką pełną dobrego humoru i z ogromnie skromnym pseudonimem — „Kopciuszek". Mam wrażenie, że wybrała go dla kontrastu, skoro sama jest pełną życia i bajecznie wesołą dziewczynką. No, no, kto umie w życiu dużo i dobrze „humorzyć", musi być nieuchronnie wesołym, bardzo wesołym!

Tylko o jedno proszę młodą Dziewczynkę, mianowicie o to, aby zechciała podać mi możliwie szybko, swój dokładny adres, bo gdzież będę słała listy, które pragnie otrzymywać od „Zdobywcy Serc II" i „Młodego Orła"?

Więc dalejże, Panowie, wystosujcie listy do mej nowej protegowanej.

Jeszcze, „Kopciuszek" przekazuje milutkie pozdrowienia dla „Niebieskookiej Ninki", „Słodkiej Danusi" i „Oneczka".

Ja zaś dziękuję Dziewczynce za miły uśmiech i wzajemnie ślę serdeczne uściski.

## MOŻE NAPISZE PAN WIĘCEJ?

*„Lawrence"*. Dziękuję Panu serdecznie za życzenia, lecz smucę się, że tak mało Pan napisał. Czyż muszę dokładnie wyjaśniać, że zawsze pragnę wiedzieć, co robią i jakie mają samopoczucie moi liczni krewni z „Krainy", rozsiani po miastach i wsiach całej dużej Polski?

A przecież krótki bilecik, notabene z życzeniami tylko, nie upewnia mnie, że czuje się Pan dobrze, że nie cierpi i nie boli Pan nad czymś, że nic Go nie gnębi.

Więc jestem niespokojna. Może napisze Miły „Lawrence" obszerniej?



Tak wygląda „Te — Em", bardzo popularny Sympatyk „Krainy" i „Teczki Wujka Janusza", ale... w karykaturze.

## PROSZĘ O DOKŁADNY ADRES

*„Stenia ze wsi"*. Blondyneczka o niebieskich oczach, podobno strasznie dzika i roztrzepaną, pragnie znaleźć bratnią duszę, z którą mogłaby się porozumieć listownie.

Mieszka na wsi, gdzieś na granicy Polski i może dlatego jest trochę, jak się wyraziła, roztrzepana. Zresztą jest jeszcze bardzo młoda, a młodość wymaga ruchu. Później na pewno spoważnieje i skupi się należycie. Lecz nim to się stanie, niechże już dziś skupi się na moment jeden najmniejszy i zapamięta, że musi czem prędzej nadesłać mi swój adres, skoro życzy sobie korespondować z sympatyczkami i sympatykami „Krainy".

Nie byłoby w porządku, gdyby listy leżały u mnie w biurku, miast cieszyć adresatkę, co czeka cierpliwie. Chyba mam rację?

## ŻYCZĘ MIŁEJ I OBSZERNEJ KORESPONDENCJI

*„Czeremcha"*. Jestem wzruszona słowami wielkiego uznania. Proszę mi wierzyć, że czuję się docenianą — gdyby mogła „Czeremcha" razem ze mną czytać listy, które otrzymuję od mojej kochanej gromadki, z pewnością uznałaby także, że praca moja jest wdzięczna i ogromnie miła.

Pozdrawiam Panią serdecznie i życzę miłej tudzież obszernej korespondencji z „Krainiakami".

## NIE WIEM, GDZIE SIĘ ZNAJDUJESZ

*„Sieroca dola"*. Pozdrawiam Panią serdecznie i zamieszczam Jej apel:

„Halo, tu „Sieroca dola" — mieszkam obecnie już trzeci miesiąc na prowincji, gdzie nudy panują straszliwe. Chciałabym bardzo nawiązać z kimś przyjazną korespondencję, aby rozproszyć trochę te nudy i brzydką monotonię.

Sympatykom „Krainy" ślę dużo pozdrowień.

„Orliczowi II" bardzo dziękuję za pozdrowienia. Piszesz, czy się domyślam kim jesteś — owszem, trochę, ale nie wiem, czy się jednak nie mylę. Dlaczego nie napiszesz listu? Nie wiem wcale, gdzie się znajdujesz.

# *Teczka Wujka Janusza*

## MAM WRAŻENIE...

*„Blanka"*. Z kilku nadesłanych wierszyków wybrałem do druku następujące: „Nie tęsknij", „Rozstanie", „W odpowiedzi" i „Wróć do mnie". Mam wrażenie, że powyższe utworki przypadną do serca Czytelnikom, podobnie, jak i mnie przypadły.

Ucieszyła mnie zapowiedź Pani! Dobrze, będę czekał, a najładniejsze ze zdjęć przekażę p. Zofii, aby je zamieściła w swojej „Krainee".

Pozdrawiam Panią serdecznie i na zakończenie zamieszczam dopisek z listu Pani:

„Dla „Dumki", „Małej Mery", „Czarnego Hajduczka", Ani W., Benia St. i p. M. Grzegorskiego — zasyłam życzliwe słowa i dobre uśmiechy.

Dla mego kuzyna w Nowym Sączu: Zbychu, masz rację, zgadzam się z Tobą. Długo czekałeś cierpliwie, ale za to trud wynagrodzony. Myszka jest śliczna. Życzę Wam dużo szczęścia, Tobie awansu i do zobaczenia się w Krakowie. Nadzia z Ciocią zadowolone. Pa!!!

## NIE TĘSKNIJ...

*„Czarnemu Hajduczkowi"*
*— poświęcam.*

Nie tęsknij za szczęściem, ono przyjdzie samo
W jakiś dzień pogodny, w jakieś złote rano,
Przyjdzie szczęście i w Twoim sercu zagości,
Urocze, jasne, pełne słońca radości.

Uśmiechnij się więc do życia i do ludzi,
Szczęście pieśnią czaru ze snu Cię obudzi,
Uśmiechnij się, Droga, do kwiatów i słońca,
Spójrz wokół na zboża złotem się mieniące.

Szczęście choć dzisiaj Tobie jeszcze nieznane
Przyjdzie w któryś dzień cicho i niespodziane,
I śnieżne swe dłonie na czole Twym złoży,
Zrumieniowe lekko od porannej zorzy.

Nie tęsknij więc za szczęścia czarownym kwiatem
I śmiej się do słońca, do ludzi i świata
I wierz w szczęście — ono na złotej fali
Przypłynie do Ciebie nieznane z oddali.

*„Blanka".*

## WIERSZE DOBRE

*„Biały Zwid"*. Wierszyki Pana, takie miłe i pełne prostoty, znalazły się w mojej „Teczce". Po przejrzeniu ich komunikuję Panu, że do druku przeznaczyłem wszystkie, tylko dwa, już nieaktualne odłożyłem do późniejszego druku, a mianowicie — „Czy pamiętasz?" i „Czereśni białej kwiat".

## ZAGRAJCIEŻ MI!...

*Karolowi i Staśkowi*
*— dedykuję.*

Zagrajcież mi!
Niech wrócą znów wspomnienia dawnych dni,
Niech mi się śni — baśniowej nocy sen.
Zagrajcież mi!
Niech choć w wspomnieniach kwitną wonne bzy —
Nim z chłodnej mgły — powstanie blady świt...
Zagrajcież mi!
Niech płynie tęskna pieśń bez słów,
Melodia snów — prześnionych dawno już...

*„Biały Zwid".*

## BARDZO PROSZĘ...

*„Stella Maris"*. Po moim powrocie z wakacyj, w stosie innych listów, znalazłem bardzo miły liścik Pani. Jakże mi przykro, że wcześniej nie wiedziałem, że wyjechała Pani na wywczasy letnie, do tak uroczej miejscowości, jak Podkowa Leśna! Byłbym napewno przesłał wiele serdecznych życzeń! Okazja przepadła i zmuszony jestem pogodzić się z faktem dokonanym. Bardzo jednak Panią proszę o podzielenie się ze mną wrażeniami wywiezionymi z Podkowy Leśnej. Przypuszczam, że są one tak różnorodne i bogate w treść, że przeczytam je jednym tchem. Uzbrojony więc w cierpliwość pilnie wyglądam heliotropowego liściku i pozdrawiam Panią jak najserdeczniej.

# Raj kobiet




J 69 121 — 123. Skromny i miły trzy częściowy garnitur bielizny z białego batystu. Ukośna mereżka ozdabia koszulkę dzienną (J 90 121), majteczki (J 90 122) i haleczkę (90 123). Potrzebna ilość materjału na koszulkę: 150 cm., — na majteczki: 135 cm., na haleczkę: 240 cm. szer. 80 cm.

J 90 118 — 120. Prześliczny trzy częściowy komplet bielizny z deseniowego jedwabiu bieliźnianego, ozdobiony wypustkami z jednokolorowego materjału. Koszulka nocna (J 90 119) podtrzymana jest w pasie przeciągniętą wstążką. Koszulka dzienna (J 90 118), lekko wcięta; wąskie naramki. Majteczki (J 90 120) mają w górnej części szeroki pas. Potrzebna ilość materjału na koszulkę nocną: 3,20 m. — na dzienną 1,45 m. — na majteczki 1,60 m. 80 cm. szer.

J 90 117. Uroczy porannik z jedwabiu bieliźnianego w miły kwiecisty deseń. Marszczony kołnierz zakończony jest falbanką. Ilość materiału około 7,25 m., szer. 80 cm.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji: nr. J 90 117 w cenie 1,90 zł, pozostałe kroje po cenie 1,50 zł za sztukę.

## Nowinki z świata mody...

Paryż w bieżącym sezonie wprowadził nowe pomysły w świecie mody. I tak:

...bardzo modne są suknie wieczorowe z tiulu z aplikacjami w kształcie kwiatów.

...na popołudnie, kostiumy z czarnej crepe de chine, a do nich biało - czerwone bluzeczki.

...do kostiumu bardziej fantazyjnego bluzeczki z fularu w grochy ciemniejsze lub jaśniejsze od tła.

...na ulicę, sukienki jedwabne w deseń, krótkie żakieciki w jasnym kolorze i kapelusze z panamy z ciemną wstążką.

...na plażę, kostiumy z wzorzystych kretonów i kapelusze o ogromnych rondach, uszyte z tego samego materjału.

...do lnianych, pięknie haftowanych sukienek lub ozdobionych mereżkami, nosi się lniane torebki o identycznym hafcie i pięknych modnych fasonach.

...jako dekoracje do sukienek, kołnierzyki i żaboty z piki jedwabnej, rypsu i organdyny.

## Półksiężyc i serce

Rozmaitymi drogami kroczy miłość opiewana w „Baronie cygańskim". W czerwcu bieżącego roku odbył się w Mediolanie ślub, który już dziś wzbudza zainteresowanie niemniejsze od zaślubin zdetronizowanego króla angielskiego z panią Simpson.

Na kobiercu ślubnym staną: córka rumuńskiego dyrektora syndykatu węglowego, prowadzącego obecnie interesy na terenie, Włoch 19-letnia Nadia Vlasow oraz 27-letni sułtan Dojkiakarty.

Poznanie się obojga przyszłych małżonków nastąpiło w St. Moritz. Młody sułtan reprezentował swego ojca na uroczystościach zaślubin księżny holenderskiej Julianny z księciem Bernardem. Już wówczas podczas biesiady weselnej znalazł się pod urokiem Europejek, które łączyły zmysł praktyczności i energię z czarem zewnętrznej postaci. Królowa Wilhelmina zauważyła te zainteresowania młodego sułtana i przygotowała dla niego jedną z najbardziej przystojnych córek ziemiańskich. Sułtan nie był jednak zachwycony miłymi holenderkami. Znudziły go szybko wystawne przyjęcia urządzane na zamku i w licznych, bogatych dworach holenderskich. Zmęczony licznymi ceremoniami i oschłym krępującym jego naturę protokółem, udał się do St. Moritz na odpoczynek. W hotelu „Carlton" zajął wraz ze swym otoczeniem 18 pokoi zdumiewając wszystkich przepychem ubrań i wystawnością życia. Pięć razy dziennie jako wierny mahometanin klękał pokornie i zwracał swe czoło w stronę Mekki, świętego miasta Islamu. Podczas jednej ze swych samotnych wycieczek w górach, kiedy nadeszła godzina modlitwy sułtan ukląkł na śniegu i zatapiając się w pacierzu. W takiej pozycji zastała go przejeżdżająca na nartach Nadia Vlasow. Kiedy sułtan podniósł oczy, ujrzał przed sobą zjawisko, które dziś jeszcze określa mianem „klejnotu Europy". Tegoż wieczora sułtan i córka dyrektora syndykatu — młoda pełna uroku i temperamentu Rumunka tańczyli smętnie, sentymentalne tango argentyńskie.

Ponieważ sułtan był słabym narciarzem, piękna Rumunka postanowiła nauczyć go tego pięknego sportu. Upływały radosne tygodnie nauki, życia zabaw i wzajemnych wynurzeń, ukoronowanych wspólnym gorącym wyznaniem.

Tragiczna wiadomość przerwała idyllę na miękkim puszystym śniegu szwajcarskim. Zgon ojca sułtana spowodował rozstanie zakochanych. Sułtan powracał na Jawę, uwożąc ze sobą wspomnienia i przyrzeczenia wiernej miłości. Datę ślubu naznaczono na czerwiec.

Sułtan wraz z całym dworem przybędzie do Mediolanu, gdzie odbędą się ceremonie zaślubin. Następnie młoda para, specjalnym wynajętym przez sułtana jachtem salonowym, uda się na Jawę. W ojczystym kraju sułtana odbędą się gody weselne z udziałem parutysięcznej rzeszy gości i tubylców ze świty sułtana.

Dziś sułtan i jego narzeczona marzą tylko o tej chwili, kiedy znów będą razem w swych objęciach. Co tydzień poczta morska przynosi młodej Rumunce gorące listy, wysyłane z dalekiej wyspy. Co tydzień też małe rączęta Rumunki odpowiadają na nie rozpoczynając i kończąc każde zdanie najmilszym słowem mieszczącym się w sercu ludzkim: „kochany"...

## Wody mineralne leczą wiele chorób

Wielkie znaczenie w lecznictwie mają wody mineralne, zawierające najróżnorodniejsze sole. Działają one wszechstronnie na wszystkie funkcje organizmu, poprawiają skład krwi i limfy, regulują obieg soków, przyspieszają przemianę materii, wpływają widocznie na wszystkie wydzieliny i wydaliny.

Nie można zaprzeczyć, że obok samych wód, wielkie znaczenie w leczeniu ma pobyt w lepszych warunkach, u wód, dobre powietrze, odpowiedni klimat, spokój, dieta, a przede wszystkim wyzwolenie się na ten czas od trosk domowych i pracy zawodowej..

Sole zawarte w wodach mineralnych mają wielkie znaczenie: nie działają one jednak przez to, że jest ich w danej wodzie dużo, raczej stanowi o tem jakość. Wody, pozornie obojętne, działają niekiedy o wiele lepiej, niż obfitujące w wielkie ilości różnych soli. Zawierają one nieraz jedynie niedostrzegalne składniki radu, krzemu i t. p. nadzwyczajnie skutecznie działających pierwiastków.

Już od wieków wiedziano, że pewne źródła, użyte czy to do picia, czy do kąpieli, mają własności lecznicze. Rozwijająca się chemia, wykryła w tych ciałach różne ciała mineralne, działające leczniczo. Jednak stwierdzono, że nietylko te ciała wywierają tak zbawienny skutek, ale są i inne tego przyczyny. Dopiero w ostatnich czasach wykryto, że działanie lecznicze zawdzięczają wody mineralne promieniowaniu pewnych ciał, jak np. radium i t. p.

Drugą przyczyną skuteczności wód leczniczych jest fakt, że ciała chemiczne w nich zawarte są pod wpływem elektryczności rozłożone na jony. Jony owe odznaczają się o wiele większą energią niż ciała, połączone w sole. Emanacje radiowe ulatniają się powoli z zaczerpniętej u źródeł wody. Dlatego o wiele skuteczniejszem jest picie wód u samego źródła, niż w domu, sprowadzonej w butelkach. Wyjątek oczywiście stanowią te wody, w których działają zwykle sole mineralne.

Wody mineralne dzielimy na trzy rodzaje: 1. Szczawy, obfitujące w kwas węglowy, nadający im smak orzeźwiający i działający nader skutecznie na przewód pokarmowy, a w kąpieli na skórę i pośrednio na wszystkie organy wewnętrzne. Pod wpływem kwasu węglowego w wodach tych rozpuszczone są różne składniki mineralne, jak węglany sodu, wapna, żelaza, magnezji. 2. Solanki, obfitujące w sól kuchenną i 3. Wody siarczane, obfitujące w siarkę.

## Kilka uwag o wodzie sodowej

W okresie lata, a szczególnie w czasie upałów, wzrasta bardzo zużycie wody sodowej, która ze wszystkich wód sztucznych, jest najbardziej rozpowszechniona, bo najtańsza.

Woda sodowa powinna być przyrządzana z najczystszej wody, powinno zawierać w litrze około 20 cm sześciennych dwuwęglanu sody i po 5 cm sześc. chlorku wapna i chlorku sodu, oraz być nasycona jak najczystszym kwasem węglowym.

Niestety fabrykacja wody sodowej bardzo wiele pozostawia do życzenia. Robiona z pierwszej lepszej wody, nasycona nieczystym kwasem węglowym, w syfonach przez całe lato nie mytych, budzić może tylko wstręt i obrzydzenie.

Naczynia miedziane, w których wytwarzają wodę sodową, powinny być starannie wewnątrz pobielane i to bez dodatku ołowiu, ponieważ w przeciwnym razie wytwarzają się szkodliwe rozczyny miedzi lub ołowiu.

Woda sodowa jest zwykle sprzedawana w syfonach szklanych lub metalowych. Syfony szklane są bezwzględnie bardziej higieniczne od metalowych, które bardzo często zawierają szkodliwy ołów, a woda nabiera nieprzyjemnego, metalicznego smaku.

Zwyczaj picia wody sodowej w budkach ulicznych lub od przekupniów, jest wysoce niehigieniczny, gdyż syfony ich są przeważnie zanieczyszczone, płókanie szklanek odbywa się powierzchownie, a ręka przekupnia podającego wodę, nie grzeszy zbytnią czystością.

## RADY PRAKTYCZNE

**Plamy od trawy** na bieliźnie wystarczy natrzeć mydłem, następnie wrzucić trochę potłuczonej siarki na żarzące węgle i trzymać splamioną bieliznę nad parą tlącej się siarki. Jeśli plamy są już zastarzałe, wtedy posmarować je mydłem lub oliwą i rozpostrzeć bieliznę na słońcu. Wiosna i lato stanowią najwłaściwszą porę do wywabiania plam tego rodzaju.

**Wywabianie z bielizny stołowej plam od czerwonego wina i owoców.** Splamioną winem czerwonym lub owocami bieliznę zamoczyć, jak można najprędzej, w gorącym mleku, a potem wyprać w czystej wodzie.

**Inny sposób:** 1/3 część ugotowanego chlorku rozpuścić w 2/3 częściach wody, namoczyć w niej plamę, a gdy tylko zniknie, zaraz włożyć bieliznę do zimnej wody, w której niech dłuższy czas poleży. Z wina czerwonego plamy usuwa się też czystym winnym spirytusem, ale, jeżeli były przedtem zmoczone wodą, spirytus już nie pomoże.

**Plamy z jodyny na bieliźnie** należy zmoczyć w amoniaku i nacierać palcami dopóki nie rozpłyną się zupełnie; potem wypłukać w letniej wodzie i wyprać w rozgotowanym mydle.

**Plamy od tłuszczu i przepocenia.** Pięć łyżek stołowych amoniaku, pięć łyżek spirytusa winnego, półtorej łyżki soli, zmieszać dopóki sól się nie rozpuści. Zamoczyć miejsca przepocone i zżółknięte, a potem wyprać mydłem.

**Plamy ze smoły** nacierać masłem niesolonem. Gdy masło zejdzie, ślady tłuszczu na materiale oczyścić benzyną, a na bieliźnie, wyprać ciepłą wodą z dodaniem amoniaku.

**Plamy z farby olejnej i oliwy.** Wziąć po jednej łyżeczce olejków: cytrynowego, makowego, goździkowego i cynamonowego oraz kieliszek spirytusu terpentynowego. Umoczyć kawałek jedwabiu i nacierać plamy, powtarzać nacieranie dopóki plamy nie znikną.

**Plamy z żywicy.** Nacierać cytrynowym olejkiem lub spirytusem terpentynowym. Gdy żywica zmięknie, wycierać flanelą, a na końcu zmyć wodą z dodatkiem rozrobionej woskowej żółci.

**Plamy od wapna na suknie.** Wyczyścić najprzód ubranie lub inne jakie przedmioty sukienne, suchą twardą szczotką, a potem natrzeć szmatką zmaczaną w mocnym occie. Sposób ten z korzyścią może być stosowany do czyszczenia stolików od kart.

# *Ze świata*

## *Małżeństwo na próbę*

Przed sądem w Londynie toczyła się parę dni temu niezwykle oryginalna sprawa rozwodowa.

Niejaka Edyta Wright, złożyła do sądu skargę na swego męża, domagając się rozwodu. W skardze swej nadmieniła, że od siedmiu lat, odkąd poślubiła swego obecnego męża, przechodzi istne piekło. Już w kilka tygodni po ślubie, mąż zaczął ją maltretować. Nie dawał jej pieniędzy na utrzymanie, wobec czego młoda kobieta zmuszona była uciekać się do pomocy krewnych, mimo, że wniosła mężowi dość poważny posag.

Mąż Edyty twierdził, że spodziewał się otrzymania większego posagu, a ponieważ nadzieje jego zostały zawiedzione, uważał, że żona sama winna dbać o swoje utrzymanie. Jednocześnie zaś nie chciał jej udzielić rozwodu i nie pozwalał wyjechać z domu, twierdząc, że ją kocha.

Sędzia zaproponował małżonkom, aby pogodzili się. Po pewnym wahaniu, młoda kobieta oświadczyła, że godzi się tytułem próby pozostać z mężem jeszcze trzy miesiące. Jeżeli w ciągu tego okresu mąż będzie ją dobrze traktował i da jej na przyzwoite utrzymanie — wycofa skargę rozwodową.

## *Wypożyczalnia obrazów*

W Londynie zostało ostatnio otwarte przedsiębiorstwo, które trudni się wypożyczaniem obrazów.

Przedsiębiorstwo należy do kilkunastu młodych, lecz bardzo zdolnych malarzy, którzy nie mogli znaleźć zbytu na swe dzieła, wobec czego zdecydowali się za małą opłatą wypożyczać je czasowo. Wypożyczalnia cieszy się wielkim powodzeniem, gdyż wielu ludzi lubi zmieniać często obrazy w swych mieszkaniach.

## *Stuletni aparat fotograficzny*

W paryskim parku wystawowym w pobliżu Porte de Versailles istnieje wielce interesująca wystawa, poświęcona fotografii i kinematografii, obrazująca dzieje tych wynalazków. Obok więc dzisiejszych, błyskawicznych aparatów kieszonkowych, używanych do reportażów fotograficznych, tudzież specjalnych aparatów do wielkich zdjęć kinematograficznych, widnieją tam aparaty robiące wrażenie tworów przedpotopowych. Najciekawszym wśród nich jest najstarszy aparat fotograficzny z 1837 r. Przyglądając się temu staruszkowi, niesposób wyobrazić sobie, jak można było taką machiną fotografować. Ale już aparat z 1839 r. młodszy o dwa lata, wygląda daleko nowocześniej.

ALFRED LORD TENNYSON.

# Szarża lekkiej brygady

(NOWELA).

(Osnute na tle filmu o podobnym tytule).

„Tylko jedno" — rzekła Elza. — „Powiedz mu, że jego brat jest najszlachetniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek widziałam". Dotknęła jego ramienia i wyszła. Geoffrey stał i pakował odzież swoją do plecaka, ale niebardzo wiedział, co pakuje. Łzy wielkie jak groch toczyły mu się po twarzy.

ROZDZIAŁ IX.

Na wyżynach Bałakławy grzmiały rosyjskie baterie. Z poza nasypów ziemnych, wieńczących wzgórze wzniesione ponad doliną Bałakławy, generał Wolonow i Chan Suratu przyglądali się przez lornety polowe wojskom brytyjskim, stacjonującym w odległości trzech mil.

Ale źrenice lornet nie zdołały się przedrzeć przez płócienne ściany namiotów, mieszczących kwaterę brytyjskiego dowództwa. Tam przy składanym polowym stole, siedział major Vickers, a naprzeciwko niego stał ordynans. Geoffrey zdumienionymi oczyma wodził po linijkach doręczonego mu przed chwilą pisma. Tekst brzmiał:

„Rozkaz dzienny, wydany przez Marszałka Polnego, Lorda Raglana. Natychmiast wycofać Lekką Brygadę o trzy kilometry na południo-zachód od obecnej pozycji".

Geoffrey spojrzał na ordynansa. „Możesz odejść" — rzekł. Przez dłuższą chwilę siedział tak, niemo wpatrzony w litery rozkazu. Wstał, podszedł do drzwi i spojrzenie jego pobiegło wzdłuż doliny, aż zatrzymało się na łańcuchu wzgórz: zapewne na jednym z tych wzgórz znajduje się kwatera generała Wolonowa. Chan Suratu musi tam być również. Co za niezwykła okazja! Desperacka myśl zaczęła kiełkować w mózgu Geoffreya. Cóż znaczy życie? Czy któremuś z nich — całemu 27 Pułkowi pozostała chociaż jedna istota, dla której warto byłoby żyć? A co ma powiedzieć on, ich major, Geoffrey Vickers?

Wrócił do stołu, jeszcze raz obejrzał pismo marszałka, podarł je na strzępy, wziął czysty arkusz papieru i napisał:

„Lekka Brygada posunie się naprzód i zajmie nieprzyjacielskie pozycje na wyżynach Bałakławy".

Bez wahania nakreślił pod tekstem nazwisko Lorda Raglana, przyłożył pieczęć, zapiął płaszcz i wyszedł z namiotu.

Sir Beniamin Warrenton podniósł głowę, słysząc kroki Geoffreya, wchodzącego do biura dowództwa. „Vickers, chłopcze drogi!" — rzekł ciepłym głosem.

Geoffrey zasalutował i podał mu sfałszowany rozkaz: „Marszałek pozdrawia was, sir Beniamin!"

Sir Beniamin rozerwał kopertę. Oczy mu się zaświeciły. „Nareszcie!" — zawołał.

„Spodziewaliście się tego?" zapytał Geoffrey.

„Od tygodni" — odparł Sir Beniamin. „A co tyś myślał, że tylko Kwatera Główna jest taka mądra? Ja też wiem, że na wyżynach Bałakławy znajduje się Chan Suratu".

„A pułk... ludzie... czy wiedzą?" — zapytał Geoffrey.

„Na pewno nie. Gdyby wiedzieli, nie można by ich utrzymać w miejscu".

„A czy ja mogę im o tym powiedzieć?"

Sir Beniamin skinął głową. „Dobrze, ty im powiedz".

Geoffrey zasalutował, wyszedł z pokoju i udał się na poszukiwanie ordynansa. Znalazłszy go rozkazał: „Udaj się do majora Perry'ego Vickersa i powiedz mu, żeby natychmiast do mnie przyszedł. Będę w namiocie".

Zajęty był właśnie pisaniem, gdy Perry wszedł i stanął na baczność. Geoffrey złożył papier, zapieczętował i wręczył go bratu. „Zawieziesz to do Kwatery Głównej" — rzekł.

„Słuchaj, Geoffrey" — gniewnie zaczął Perry, — „Te jest szynka. Dobrze wiesz, że pułk ma posunąć się naprzód — jeśli pojadę do Kwatery Głównej, nie będę mógł wziąć udziału w bitwie".

„Natychmiast wykonasz mój rozkaz" — surowo odparł Geoffrey.

„A jeśli nie?"

„Nie pracujesz teraz w korpusie dyplomatycznym, ale jesteś na froncie i podlegasz jurysdykcji sądu polowego. Pamiętaj o skutkach, jakie pociąga za sobą złamanie dyscypliny".

Krew uderzyła Perry'emu do twarzy. Wzruszył ramionami. „W jednym i drugim wypadku czeka mnie hańba" — mruknął. Obrócił się na pięcie i wyszedł z namiotu. Po chwili galopował już w kierunku tylnych straży, wioząc ze sobą pismo dla Kwatery Głównej. Podstęp, który Geoffrey zastosował, aby ocalić bratu życie, udał się doskonale.

Perry coraz bardziej oddalał się od obozu. Tymczasem oficerowie i żołnierze 27 Pułku Lansjerów dosiadali koni i stawali w ordynku. Przyłączyły się do nich inne pułki: trzynasty lekki dragonów, jedenasty huzarów i czwarty lekki dragonów. Komendę objęli Geoffrey i major Jowett. Kiedy wszyscy już byli zgromadzeni i gotowi, Geoffrey zawołał:

„27 Pułku Lansjerów! Przed nami w szeregach nieprzyjaciela znajduje się Chan Suratu".

Gniewny okrzyk lansjerów był jedyną odpowiedzią. „Do szarży!" — zawołał Geoffrey.

ROZDZIAŁ X.

Chan Suratu dostrzegł przez lornetę, że Lekka Brygada posuwa się naprzód po dolinie. Mimowolny okrzyk wydarł mu się z ust:

„Wariaci! Przecież zdziesiątkujemy ich, zanim zdołają przebyć ten jar!"

Generał Wolonow uśmiechnął się cynicznie. Podniósł rękę do góry i dał znak bateriom. Zagrzmiały działa. Granaty pękały w dole, przerzedzając szeregi nadciągającej kawalerii.

Ale Lekka Brygada ani drgnęła. W zupełnym porządku, nieustannie szlusując, parła naprzód przez dolinę śmierci, ku rosyjskim działom, za którymi grupowały się już szeregi rosyjskiej kawalerii, gotowej do kontrataku. Z lancami na toku 27 Pułk Lansjerów prowadził natarcie, dragoni i husarzy postępowali za nim. Gdy Geoffery wydawał komendę w pułku było blisko 700 ludzi. Teraz trudno byłoby się ich doliczyć. Dolina wyglądała jak piekło, pełna dymu i płomieni. Granaty, kartacze i szrapnele morderczym gradem zasypywały pędzącą kawalerię.

Tymczasem w Głównej Kwaterze Wojsk Brytyjskich panowała konsternacja. Perry oddał pismo Geoffreya Sir Charlesowi Macefieldowi. Sir Charles przeczytał: „Z własnej inicjatywy poleciłem 4-tej dywizji przeprowadzić atak pod Bałakławą. To otworzy panu drogę do bezpośredniego szturmu na Sewastopol. Zdaję sobie sprawę z tego, że winien jestem zbrodniczego wykroczenia przeciwko dyscyplinie, ale proszę pamiętać, że jadę na czele 27 Pułku, a przed nami jest Chan Suratu". Sir Charles aż krzyknął ze zgrozy i gorączkowo zabrał się do działa. Rzucił szaserów afrykańsikch. i Ciężką Brygadę na pomoc Lekkiej Brygadzie — lub jej szczątkom.

Lecz rozkaz wydany był za późno. Lekka Brygada podchodziła już ku wzgórzom i Rosjanie słyszeć mogli wyraźnie łoskot kopyt, zagłuszający odgłos detonacyj. Geoffrey z twarzą jak z kamienia, z zaciśniętymi ustami, pędził obok Sir Beniamina na czele pułku, pędził przed siebie, prosto na baterię, za którą wiedział, że ukrywa się Chan Suratu.

Jak huragan spadła na nich kawaleria rosyjska, wywijając w słońcu srebrzystymi szablami, ale Anglicy wytrzymali napór, przedarli się i zmusili wroga do ucieczki. Konie lansjerów, huzarów i dragonów przesadzały nasypy ziemne, a jeźdźcy siekali szablami kanonierów i przebijali ich lancami.

Goeffery, Sir Beniamin, podchorąży Barclay, major Jowett, wraz z ocalałą resztą 27 Pułku dotarli do głównej baterii. Chan Suratu na ich widok skulił się ze strachu. Granat wybuchł w pobliżu Geoffreya, zabijając pod nim konia. Geoffrey podniósł się z ziemi, szablę miał złamaną; pochwycił cugle bezpańskiego konia, wskoczył na siodło i złożył się lancą.

Chan Suratu przycupnął za osamotnionym działem. Sięgnął ręką ku leżącemu obok trupowi kanoniera i z za jego pasa wyciągnął rewolwer. Widząc Geoffreya, nadjeżdżającego z groźnie wysuniętą lancą, pociągnął za cyngiel. Było za późno. Lanca Geoffreya przebiła ciało Chana i pograniczny watażka padł martwy. Koń Geoffreya skoczył naprzód, wyrzucając jeźdźca z siodła. Geoffrey spostrzegł, że leży blisko zabitego przed chwilą Chana; przez parę sekund widział jeszcze nad sobą błękit nieba, potem usłyszał dźwięk rożka, trąbiącego do odwrotu i łoskot galopującej kawalerii: to Lekka Brygada wracała przez dolinę śmierci — wracała bez niego. Lekka Brygada — a raczej jej niedobitki — wróciła. Ciężka Brygada przeprowadziła kontratak i Sewastopol padł. Ale w kwaterze głównej nie radowano się.

Sir Charles siedział przy swoim biurku, zmęczony, pochylony, jakby przybyło mu lat. Naprzeciw niego stali: generał Dunbar, generał O'Neil i pułkownik Coventry.

„Dajże spokój, człowieku" — rzekł generał O'Neil. — „To napewno była pomyłka. Gotów jestem przysiąc, żeś ty nie wydał takiego rozkazu".

„Drogi Harry" — spokojnie odpowiedział Sir Charles — „wszyscy są święcie przekonani, że te6 rozkazy poszły na pewną śmierć z mojego rozkazu".

„Ależ" — wtrącił generał Dunbar — „musiało zajść nieporozumienie. Wydane przez pana rozkazy...".

„...zostały przyjęte i wykonane" — dokończył Sir Charles. Wstał z miejsca. „Wierzcie mi, panowie, oceniam całkowicie skwapliwość, z jaką chcecie mnie oczyścić z zarzutu".

„Więc pan nie ma wytłumaczenia?" — zapytał pułkownik Coventry.

„Zadawalającego wytłumaczenia nie mam" — odparł Sir Charles.

Odeszli. Generał O'Neil zatrzymał się jeszcze w progu i rzekł, kręcąc głową z podziwem: „Tykogoś osłaniasz. Życzę ci, aby sprawa zakończyła się jak najlepiej".

Sir Charles pozostał sam. Przez chwilę spoglądał na drzwi.

Następnie wziął do ręki arkusz papieru i uważnie przestudiował wypisany na nim tekst. Był to ów list, który Geoffery wysłał przed rozpoczęciem szarży. Powolnym krokiem podszedł Sir Charles do kominka. Po raz ostatni rzucił okiem na dokument i oddał go na pożarcie płomieniom.

„Virtuti militari" — rzekł — „za cnotę żołnierską" — a w głosie jego brzmiał smutek.

Koniec.

— Chciałbym w takim razie wiedzieć, co pani pocznie jak jedyna suknia pani tak się zniszczy, że jej dłużej nie będzie można nosić — odpowiedziała Willemerka ironicznie. — Nie może się pani owinąć, jak święta Genowefa w swoje włosy, bo sięgają one ledwie do pasa.

— Pani pewnie myśli, że będę tu jeszcze długi czas więziona — odpowiedziała Sylwia oburzona. — Ale dlaczego rodzice moi tu nie przyjeżdżają Dlaczego nie mam jeszcze odpowiedzi na mój list?

Pytałam się panią o to już niezliczoną ilość razy, a pani mi na to pytanie zawsze odpowiada wymijającym wzruszaniem ramion.

Robicie tu ze mnie wariatkę, mimo że jestem przy zdrowym rozumie i obchodzicie się ze mną tak, że mogłabym naprawdę oszaleć, gdybym nie miała tak silnych nerwów.

— Jak się pani znów irytuje — rzekła Willemerka chłodno. — Pani jest bardziej chorą, niżeśmy dotychczas myśleli!

To powiedzenie dziwnie poruszyło Idę i pomyślała w duchu, że takich rzeczy nie powinno się mówić do chorej.

Spostrzegła też natychmiast, że pani Willemer czyniła umyślnie wszystko, co by mogło irytować Sylwię i pogorszyć stan jej zdrowia. Szczerze i głęboko współczuła z biedną nieszczęśliwą, a tak piękną dziewczyną.

Sprzeczka między Sylwią a Willemerką byłaby z pewnością dłużej jeszcze potrwała, gdyby nie wejście dyrektora Silasa.

No, czy to wielkie dzieło już dokonane? — zapytał żartobliwie.

— Nie — odparła Willemerka — ta pani dziś znów jest tak nerwowa, że wszelkie perswazje nic nie pomagają.

— Jeżeli ta pani się dziś na to nie zgadza, to trzeba wzięcie jej miary odłożyć na inny czas — odrzekł dyrektor spokojnie, ale stanowczo — Nie powinniśmy drażnić naszej pacjentki, lecz spełniać niewinne jej życzenia.

Pani Willemer skinęła głową potakująco.

Zmieniła się w jednej chwili do niepoznania. W miejsce wyzywającego, ostrego, tonu przybrała łagodny, nader uprzejmy głosik. Zasunęła znów firanki i rzekła schlebiająco:

— Może panienka znów zaśnie. Odejdźmy stąd i niech tylko Szarlota zostanie!

Na te słowa oddaliła się Ida, rzuciwszy wpierw jeszcze litośne spojrzenie w stronę chorej.

Czy przeczuwała może, że własny los jej był tak podobny do losu pięknej istoty?

Kto może na to pytanie odpowiedzieć? Są rzeczy, których ludzki nasz rozum przewidzieć nie może.

## ROZDZIAŁ CXLV.

### W szale

Po raz pierwszy w życiu była Ilona stroskana. Gdyby Alojzemu rzeczywiście stało się coś złego, pokrzyżowałoby to wszystkie jej plany.

Nawet, gdyby śmierć kasztelana pozostała czas jakiś tajemnicą, na nic by jej się to przydało i widziała teraz jasno, że nie osiągnęłaby w tym wypadku celu swego i nie zostałaby w tych warunkach nigdy hrabiną Wildenstein.

Gdyby nowy kasztelan przyszedł na zamek, nie miałaby Ilona doń wstępu więcej.

Miałaby wtedy tylko jedną drogę wyjścia: Albo wtajemniczyć nowego kasztelana w swoją tajemnicę, co byłoby bardzo ryzykowne; albo też przyznać się baronowi Sturmfederowi, że Werner jeszcze żyje.

W tym ostatnim wypadku, życie Wernera wisiałoby na włosku, bo Egon starałby się pozbyć swego niebezpiecznego rywala.

Wściekłość opanowała Ilonę na tę myśl.

Była wprawdzie złą i zepsutą ,ale w sercu jej drgała przecież jedna czuła struna: miłość ku Wernerowi!

Mimo, że sama wykonywała plany Egona z największą gotowością, przecież nienawidziła barona za to samo, że plany te wymyślał.

Tyle sprzeczności jest w duszach ludzkich!

Ilona miała dla hrabiego największe współczucie, a mimoto, byłaby sobie raczej rękę dała uciąć, niżby go była uwolniła z więzienia, bez solennego przyrzeczenia z jego strony, że ją poślubi.

Ze zmarszczonym czołem i ponuro ściągniętymi brwiami zbliżała się Ilona do miasteczka.

Nie spostrzegła tego, że Ignacy obserwował ją bacznie. Obłąkaniec schował się za gęste krzaki sosnowe z poza których wyszedł dopiero, gdy Ilona oddaliła się od niego o duży kawał drogi.

Schwycił się rękoma za głowę, jak gdyby tym ruchem chciał zatrzymać goniące w niej myśli i mruknął żałosnym głosem:

— Oto jest! To jest zamek Felseg. Zgubiłem tutaj coś i muszę tak długo szukać dopóki nie znajdę swej zguby!

Po krótkiej chwili zaczął na nowo.

— Co to było? Czy to były pieniądze? Muszę poszukać!

Po tych trwożnie wypowiedzianych słowach przykucnął na ziemi i zaczął grzebać w zeschłym listowiu i opadłych szpilkach sosnowych.

Przy tej sposobności, zupełnie przypadkowo trafił na miejsce, w którym Ilona schowała klucz do zamku.

— Jakiś klucz! — rzekł Ignacy, śmiejąc się głupkowato. — Takim kluczem otwierają ludzie drzwi. Tu na dworze tak zimno: Pójdę do zamku i zagrzeję się tam.

To rzekłszy zbliżył się do bramy zamkowej, wetknął weń klucz i otworzył ją bez trudu.

Gdy już był we wnętrzu, zaczął sobie coś przypominać, coraz jaśniej i jaśniej!

— Tutaj jest to podziemie, w które Ilona chciała strącić pannę Sylwię — mruknął. — Czy ją tam wtrąciła? Bo mnie ona także strąciła w przepaść.

Mówią ludzie, że panna Sylwia znikła Założyłbym się, że ona jest tam na dole. Czy to może ją chciałem szukać? Bardzo być może!

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

## CHWILA ZASTANOWIENIA

Rozsypanka sylabowa

uł. Mira T.

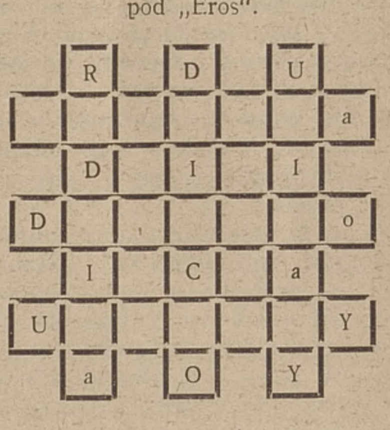
Ty — yes — ce — szys — o — ko — ka — a — ka — o — li — stro — mia — czar — fia — rzeł — karp — a — es — kar — gar — Yan — ka — o — zje — lo — se — ter — ma — rza — no — mie — ca — zo — car — zo — li — nyż — ur — ni — ban — su — kes — lu — gon — jak — za — ża — chy — le — rze — ga — py — fa — ta — o — kwes — tor — a — so — wa — cje — re — ze — druk — i — tra — ber — tra.

Z powyższych sylab ułożyć kolumnę z 28 słów, których pierwsze litery dadzą pionowo tytuł głośnego dzieła, oraz imię i nazwisko jego autorki.

Wyrazy pomocnicze: 1) Rodzaj łódki. 2) Wiosenne zawody wioślarskie. 3) Mały skrawek ziemi. 4) „tak" w języku angielskim. 5) Znajdują się przy niektórych oknach. 6) Owoce. 7) In. wywczasy. 8) Przyrządy do młócenia zboża. 9) Mieszkaniec Stanów Zjednoczonych. 10) Wskazuje godziny. 11) Nazwa reprodukcji obrazu. 12) Członek znanej organizacji włoskiej. 13) Legendarny bohater pierwszego lotu w przestworza. 14) Drzewo — rośnie na południu. 15) Ryba. 16) Godło Polski. 17) In. komornik. 18) Nazwa tasiemca. 19) Aromatyczna przyprawa. 20) Barwnie upierzony ptak. 21) Wyspa azjatycka. 22) Ranne i wieczorne barwy na niebie. 23) Dawny władca Rosji. 24) Imię żeńskie. 25) Imię jednego z papieży. 26) Nieprzeparty urok. 27) Duży dom. 28) Nauka o ciałach niebieskich.

Kwadrat magiczny

pod „Eros".




Uzupełnić brakującymi literami figurę, by rzędy poziome i pionowe dały te same wyrazy.

Rozwiązanie zadań z nr. 25 „Moich Powieści": **Dopełnianka:** 1) Kamień. 2) Okazja. 3) Lokata. 4) Unikat. 5) Muzyka. **Bilety wizytowe:** Generał — kominiarz — kolejarz.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 9 czerwca, br.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: K. Ziółkowska — Kamień Pomorski, Bola Cerkaska — Mogilno, Jerzy Warlikowski — Poznań, Urszula Pawlikówna — Zalesie, „Eros".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Urszuli Pawlikównie z Zalesia i Jerzemu Warlikowskiemu z Poznania.

ADAM CZEKALSKI

16)

# Sen o zemście

Madame zaczęła szeptać mu do ucha tak cicho ową nowinę, że tylko on jeden mógł to usłyszeć.

— I cóż ty na to, tatusiu?... Czy się nie cieszysz swym dziedzicem?

— Hm.. tak... owszem, cieszę się, bardzo się cieszę.. — odrzekł król, mocno zaambarasowany „nowiną“, która, sądząc po jego minie, nie musiała być dla niego bardzo radosna.

— Stasiu... jedyny mój — przecież to dziecię nasze, nasze wspólne, owoc naszej miłości, tak szczerej, tak głębokiej, tak długiej i wiernej...

— Hm... no tak...

— Czyż pozwoliłbyś, aby ono miało zejść na zwykłego szlachetkę, na jakiegoś hętkę-pętelkę, na jakiegoś hreczkosieja, mopanka, na jakiegoś waćpana, którego byle łyk szlachecki mógłby poufale klepać po ramieniu?... Ono, dziecię krwi królewskiej? Pomyśl, Stasiu, czy to nie straszne?...

— Hm... no tak... ale tak źle nie może być.. pomyślimy, pomyślimy nad tym...

— Pomyślisz? Kiedy? Czemu dzisiaj nie chcesz już pomyśleć?

— No, przecież nie wiemy jeszcze, jakiej płci będzie to dziecię, bo od tego zależy nasze postanowienie...

— Nie, nie, ty się możesz ożenić, Familia może cię ożenić, zapomnisz, możesz zapomnieć...

— Ależ zapewniam cię, cara mia, iż o małżeństwie moim w ogóle mowy być nie może.

— Mowy... być nie może?

— Napewno. Czyż cię to dziwi?

— Więc... więc i ze mną nie ożeniłbyś się? Nie ożeniłbyś się, chociaż zawsze zapewniasz mnie o swojej miłości?

— Hedwige, cóż ci też na myśl znowu przychodzi! — zawołał zgorszony król.

— Jak to? Więc naprawdę nie ożeniłbyś się? — powtórzyła pytanie, blednąc z gniewu, a oczy jej zapaliły się jakimiś błyskami niebezpiecznymi. — Nie ożeniłbyś się, pomimo zapewnień i przysiąg miłości?... Pomimo tego dziecięcia które pod piersią noszę?... Nie ożeniłbyś się, Stasiu?

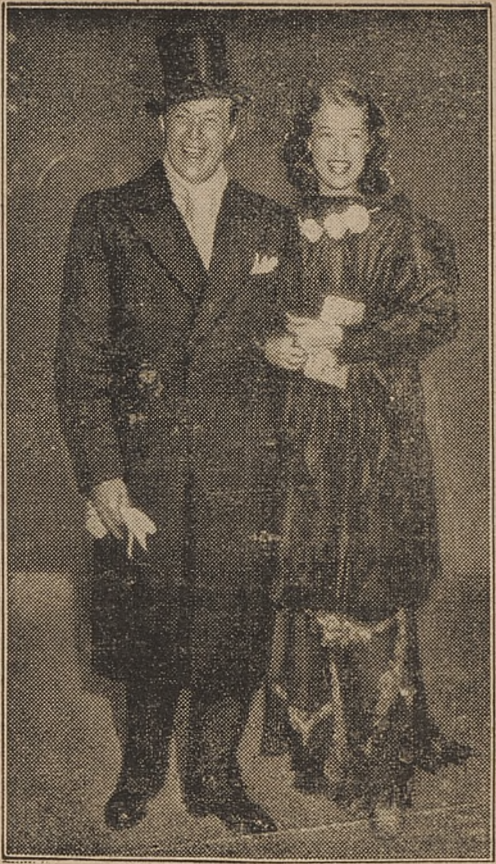
— Moje ty dziewczyniątko najmilsze — odezwał się niepiewnie Stanisław August, — przecież ty sama doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, iż ja nie jestem prywatnym człowiekiem i nie zależę od siebie. Królowie żenią się nie z tymi, które wybrało ich serce, ale tam, gdzie żenić się nakazuje interes polityczny. Podobnie jest i ze mną. Gdybym kiedykolwiek miał się ożenić, bezwątpienia musiałbym pojąć za małżonkę tę osobę, którą wskaże mi Rada Państwa.

— A czyż ty nie jesteś najwyższą tego państwa głową?

— Jestem nią.

— To, czyż nie możesz zmusić Radę do słuchania ciebie, twoich słów, twojej woli?

— W wielu sprawach — tak, ale nie we wszystkich.



W stolicy filmu, Hollywood, odbył się w obecności ogromnego tłumu wielbicieli i ciekawskich ślub sławnej artystki Jeanette Mac Donald z aktorem Rene Raumond.

— Czyli, innymi słowy, moja miłość dobra dla ciebie była, moja osoba miłą ci była, ale tylko w wolnych chwilach? Była to rozrywka dla najjaśniejszego pana w chwilach nudy, rozrywka dla rozweselenia króla jegomościa. Król jegomość się zabawił, a gdy zabawka sprzykrzyła się, może iść precz?

— Moja maleńka, nie tak jest, jak to sobie imaginujesz, a na sprawach państwowych, daruj, nie znasz się wiele.

— Mon verre est petit, mais je bois dans mon verre.

Król przyjrzał się w tym momencie kochance i nie uszło jego bystrej uwadze cecha dzikiej drapieżności w całej jej postaci. Biła od niej zdecydowanie naprężona i trzymana wciąż jeszcze w karbach wola, niby strzała na napiętym łuku — i miękki, zniewieściały król jegomość zląkł się, by ta strzała nie została wypuszczona.

— Hedwige, jeśli się nie uspokoisz, odejdę natychmiast i uprzedzam, że mogę już nigdy nie wrócić, pomimo, iż cię kocham prawdziwie.

Z kolei Jadwiga zadrżała obawą utraty kochanka i od razu się zmieniła.

— Ach, przebacz mi, Stasiu! — zawołała. — Jestem tak dziwnie rozstrojona dzisiaj.

— To właśnie bardzo niedobrze. W twoim stanie, cara mia, wszelkie wzruszenie jest surowo zakazane. Pamiętaj, iż ci raz na zawsze zakazuję wzruszać się i denerwować czymkolwiek, aby owoc naszej miłości mógł przyjść na ten piękny świat w najzdrowszym stanie.

— Obiecuję ci to — odrzekła łagodnie i potulnie.

— I żadnych rozmów na podobny temat jak ten, który poruszyłaś przed chwilą. Czyż tak mało masz wiary we mnie?

— Mam jej więcej, niż ktokolwiek inny w całym twoim państwie.

— No, to i dobrze. Pozwól ucałować słodkie ponęty i — adieu.

— Adieu, najmilszy...

Król wyszedł.

Od owego dnia Stanisław August dumał często nad tą sprawą i instynktownie bał się kochanki. Ona górowała nad nim swoją wolą, swoją siłą charakteru, drapieżnością w końcu w każdej sprawie, a on, bywało — w wielu rzeczach ulegał jej nieraz. Lecz gdy ją znowu miał przy swoim boku, gdy znowu trzymał w objęciach to piękne ciało, całował płonące usta — zapominał o wszystkim innym, żyjąc tylko rozkoszami chwili obecnej.

Stosunki ich znowu ułożyły się pomyślnie, spokojnie i równo, jak w dawnych, dobrych dniach.

Pani Jadwiga z trwogą i odrazą oglądała prawie codziennie deformacje swoich pięknych kształtów i chwilami piekielna złość ją ogarniała. Już teraz ów jej stan był tego rodzaju, że o pokazaniu się gdziekolwiek publicznie, bez obawy narażenia się na plotki i komeraże — mowy być nie mogło. Siedziała tedy całymi dniami w swoim mieszkaniu, ciesząc się jedynie odwiedzinami króla, lecz i te odwiedziny jedyne, których pragnęła, w miarę zmian zachodzące w postaci madame Hedwige, stawały się coraz rzadsze i trwały coraz krócej.

Esteta, ogromnie wrażliwy na wszelkie piękno, król Staś nie mógł nie widzieć, iż stan jego kochanki, mimo ściągań pasami i zabiegów medyka — z punktu widzenia estetyki i piękna — jest brzydki, z tygodnia na tydzień staje się coraz brzydszym. Więc, aby sobie oszczędzić tego widoku, a prócz tego, mając pod ręką grono pięknych kobiet, którymi otaczano króla, a które z tęsknotą czekały na ukoronowanego kochanka — wolał owe piękne gracje, niż brzydką już teraz postaciowo madame Hedwige.

Pragnąc jednak coś zaradzić na owo stałe brzydnięcie tak do niedawna uroczej kobiety, wezwał był raz król jegomość do siebie zaufanego medyka, pytając o radę. Ale medyk, znający dobrze stan madame Hedwige, odrzekł na to:

— To niemożliwe, wasza kr. mość. Madame Hedwige jest już od siedmiu miesięcy zaawansowana.

Dał tedy król jegomość pokój i czekał tylko na okazję, aby sprawę całą pomyślnie rozwiązać.

Jakoż zdarzyło się pewnego razu, iż szambelan przedstawił najjaśniejszemu panu prośbę Józefa Ciechanowieckiego o posłuchanie.

— Ciechanowiecki?... Ciechanowiecki? powtórzył król parokrotnie, jakby sobie coś przypominał. — Czekajno, czy to nie jeden z tych Ciechanowieckich, którzy zbiegli z księciem Karolem?

— To brat zbiegów, najjaśniejszy panie — odrzekł szambelan. — Z Paryża co tylko powrócił. To jeszcze młodzik, najjaśniejszy panie.

— Dobrze, daj go tu — zgodził się król jegomość, a obawiając się zamachu, opatrzył krucicę i ukrył ją w stoliku,

przy którym siedział. Szuflada była uchylona na tyle, iż król miał możność każdej chwili za broń chwycić.

Szambelan wprowadził Ciechanowieckiego, który złożył dworski ukłon monarsze, a ucałowawszy podaną mu dłoń, chwilę milczał, patrząc śmiało w oczy Poniatowskiemu. Mierzyli się tak wzajemnie jakiś czas, jakby się badając, a król odczuwał coraz bardziej wzrastającą w sobie sympatię do tego urodziwego młodzieńca, jak sosna górska smukłego, pełnego wysokiej ogłady, nabytej na dworach francuskich.

— Waćpan prosto z Paryża, mości Ciechanowieski? — zagadnął uprzejmie król.

— Tak jest, wasza król. mość. I zaledwie stanąłem na bruku stołecznym ,natychmiast śpieszę do stóp waszej królewskiej mości, by prosić o łaskę...

— Hm... — chrząknął Poniatowski — waćpan jesteś rodzonym bratem zbiegłych z księciem Radziwiłłem Ciechanowieckich?

— Rodzonym, wasza kr. m. i dla nich to i dla siebie przychodzę prosić o łaskę.

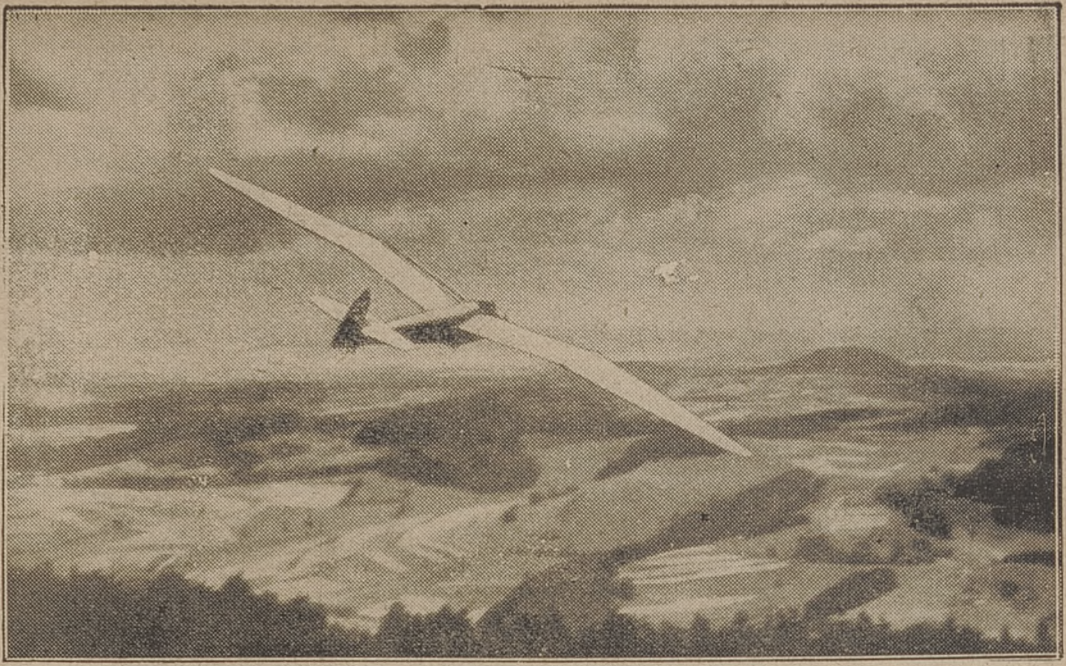
— Wszakże to Ciechanowieccy są najzaciętszymi wrogami naszego tronu, gotowi spełnić na rozkaz księcia Radziwiłła wszelkie szaleństwa, może nawet na majestat monarszy się porwać?...

— Nie wierz, najjaśniejszy panie, podobnym oskarżeniom, rzuconym na braci moich przez zawistnych wrogów. Oni nigdy nie występowali wrogo przeciwko majestatowi królewskiemu, ale nieustannie niepokojeni i najeżdżani przez Strutyńskich, bronili jeno praw swoich prywatnych. I za to cóż ich spotkało? Oto infamia i kara miecza. Zabrano nam wszelkie dobra, brat mój najstarszy, Jan, starosta opeski, najechany w swojej Opsie — poległ i nie było nawet komu go pogrześć... Strutyńska, która niegodna była naszego imienia, już w parę miesięcy po ślubie z bratem moim Janem, dopuściła się haniebnej zdrady z gachem w domu swego męża. Rodzic jej, miast wziąć stronę pohańbionego męża — opowiedział się za córą. Przybył szumnie i dworno do Opsy, córę zabrał i rozpoczął wojnę z nami. Na sejmiku w Brasławiu brata nam ustrzelił, starostwo opeskie, które wieki w naszym władaniu było, z rąk naszych wyrwał i mścił się w imię ambicji i wielkich planów swoich, bo córę swą królową polską i wielką ks. litewską chciał widzieć...

— Hm... ciekawe historie mi waćpan opowiadasz, mości Ciechanowiecki... — odezwał się w zamyśleniu król jegomość.

— Jednego nie mogła nam Strutyńska darować, a to, iż zdrada jej się wydała i stała się publiczną. Stąd gniew, stąd zemsta na naszym rodzie. Zdrada ta cieniem kładła się na niej i mogła zaważyć ujemnie na opinii waszej kr. mości. Tedy chodziło jej o uznanie winnymi Ciechanowieckich, winnym brata mojego Jana, chociaż Bogu a ludziom wiadomo, iż nie on ustrzelił Strutyńskiego, który był zresztą infamisem i na ścięcie mieczem skazanym wywołańcem...

Król milczał, ale z oblicza jego poznać można było, iż opowiadanie to zrobiło



Jakże wspaniale i zwycięsko szybują te maszynki — przestrzeń i czas fraszką jest dla nich i zabawą.

na nim duże wrażenie, przychylne dla Ciechanowieckich.

— Cokolwiek raczysz postanowić, najjaśniejszy panie — podjął znowu Józef — jedno jeszcze pragnę nadmienić: to mianowicie, iż nie chodzi mi o zwrot skonfiskowanych dóbr, ani o przywrócenie starostwa opeskiego, ale tylko i wyłącznie o przywrócenie dobra imienia mojemu rodowi, tyle zasłużonemu dla kraju. Niech nie triumfuje pycha i mściwość prywaty, ale sprawiedliwość, gdyż ona jedna jest fundamentem Rzeczypospolitej.

Ciechanowiecki przerwał na chwilę poczem dorzucił jeszcze:

— Dowodem mściwości nieprzebierającej w środkach, najjaśniejszy panie, jest również i to, że Strutyńska postarała się o skazanie na ćwiartowanie nawet starego sługi brata mego, który pilnował jej przez owe dni kilka, tuż po ujawnieniu zdrady. Ćwiartowanie to odbyło się w Wilnie... Skazano i ścięto człowieka, który jednemu Bogu ducha swego tylko był winien.

Józef skończył i stał nieruchomo, czekając odpowiedzi królewskiej. Jego jasne, dobre oczy, śmiało patrzące w przymrużone nieco oczy króla, jego postać wyniosła, śmiała, bez odrobiny uniżoności i serwilizmu, pełna szacunku postawa — zjednały mu przychylność monarchy. Król zrozumiał, iż w tych szczerych, tchnących prawdą słowach młodzieńca, który sam, nie uciekając się do niczyjej pomocy, stanął przed nim, by żal swój wypowiedzieć — nie może być nieprawdy.

Poniatowski podniósł wzrok swój na Ciechanowskiego, chwilę wpatrywał się w jego jasne oczy, a potem rzekł:

— Bądź waćpan spokojny. Rozważymy twoje słowa i damy ci stosowną odpowiedź. Sprawiedliwość zostanie wymierzona.

Józef pochylił się do kolan króla, dziękując za obietnicę. Poniatowski zaś, podawszy mu dłoń do pocałowania, dodał jeszcze na odchodnem:

— A jeśli zamieszkasz w stolicy, mości Ciechanowiecki, nie zapominajże o nas i odwiedzaj nas. Mile będziemy cię widzieli na naszych obiadach czwartkowych i porozmawiamy o Paryżu.

Było to wyraźne zaproszenie, jawny znak łaski królewskiej.

Po odejściu Ciechanowieckiego, król długo dumał samotnie, poczem polecił zawezwać do siebie hrabiego Mikołaja Manuzzi.

## XXV.

### Małżeństwo na rozkaz

Hrabia Manuzzi był pochodzenia Włochem, z profesji awanturnikiem politycznym, włóczącym się długo po rozmaitych krajach, aż w końcu wylądował w Warszawie i tu wpadł odrazu w objęcia ambasadora carycy Katarzyny II. Potiomkina, rezydującego w stolicy Polski. Bez czci i sumienia, nie mający już nic do stracenia, wszystko zaś do zyskania, hrabia Manuzzi odgrywał w Warszawie rolę szpiega moskiewskiego — słowem, była to kreatura spod ciemnej gwiazdy, na wszystko gotowa, spełniająca wszystko bez wahania, cokolwiek tylko mogło mu przynieść brzęczącą nagrodę.

Tego to osobnika wysłannicy królewscy długo musieli szukać, nim go w końcu odnaleźli w winiarni na Starym Mieście u Fukiera, przepijającego ostatki jurgieltu, zaledwie dziś rano otrzymanego od Potiomkina.

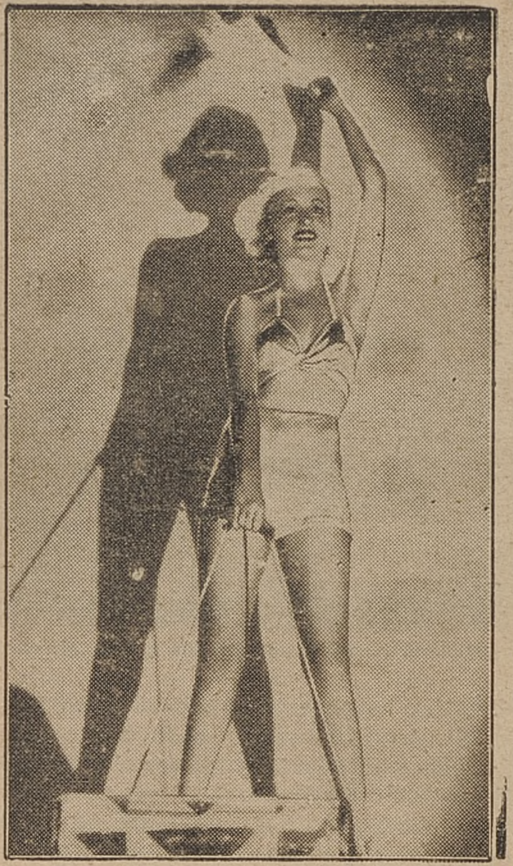
Na wiadomość, iż go król wzywa, zabrał się natychmiast pan hrabia i pojechał na Zamek, nie będąc pewnym, zali nie spotka go tam co złego za wichrzenie i szpiegowanie. Wysłannicy królewscy, których natarczywie dopytywał, co król jegomość odeń chcieć może, nie umieli mu na to nic odpowiedzieć.

Stanął więc pan Manuzzi trochę wystraszony i niepewny przed obliczem królewskim, mętnymi oczami próbując przeniknąć spokój i zadumę oblicza Poniatowskiego.

Król spojrzał na awanturnika z wysoka i rzekł:

— A, jesteś, monsieur?

— Do usług, Sire?



Jedna z najsławniejszych i najpiękniejszych gwiazd filmowych Ameryki, Carola Lombard, uśmiecha się beztrosko, nie żenując się swym nieco swobodnym kostiumem.

— Hm... czy ty, hrabio, nie masz zamiaru się ożenić?

— Ożenić? Jeżeli wasza kr. mość życzy sobie, jestem gotów nawet się ożenić.

— To dobrze. Otóż rozkazuję ci ożenić się do trzech dni z panią Jadwigą Strutyńską, wdową po Ciechanowieckim Janie, staroście opeskim.

— Wypełnię ten rozkaz waszej kr. mości, co do sekundy.

— To dobrze — powtórzył znowu Stanisław August.

— Pojedziesz natychmiast do swojej oblubienicy i przedstawisz jej się, o ile nie znasz jej dotąd. I oświadczysz, iż przybywasz z woli naszej królewskiej, której winna być posłuszna. Usługa ta nie będzie ci zapomnianą.

— Do usług, Sire.

— Tedy — adieu, panie hrabio. Życzymy szczęścia.

— Pokornie dziękuję waszej kr. mości — uśmiechnął się obleśnie awanturnik włoski, opuszczając komnatę królewską. W poczekalni szambelan doręczył mu sakiewkę mocno złotem nabitą na pierwsze wydatki.

— Król jegomość łaskaw dziś na waszą miłość — zauważył szambelan.

— Ogromnie — uśmiechnął się zjadliwie hrabia i z uśmiechem tym opuścił zamek, aby pojechać do oblubienicy. Kiedy przybył do Strutyńskiej i kazał pokojowej oznajmić się pani, fertyczna dziewczyna nie chciała dopuścić go do hrabianki.

— Madame chora i nie przyjmuje nikogo — odrzekła, stając w drzwiach.

— Nawet wysłannika królewskiego? — zapytał drwiąco hrabia.

— Czyżbyś wasza miłość od najjaśniejszego pana przybywał?

— Jak się tobie zdaje, moja mała? Zaliż nie wyglądam na królewskiego posła?

— Ach, to rzecz druga! Proszę, racz wasza miłość spocząć — wprowadziła go do gustownie urządzonego saloniku — a ja doniosę pani.

— Pośpiesz się, moja duszko, bo nie mam wiele czasu, a sprawa pilna.

Pokojowa zniknęła za drzwiami, a hrabia zaczął rozglądać się po pokoju, taksując okiem znawcy rozmaite przedmioty.

— Ho, ho — myślał — zdaje mi się, iż to małżeństwo przyniesie mi znaczną korzyść. Ale gdyby tak tę przyszłą moją małżonkę dobry Stwórca znał, jak ja ją znam, pewnie mogłaby żyć wiecznie.

Wziął w rękę mały zegar gdański, przepięknej roboty, stojący na konsoli hebanowej i zaczął go oglądać.

— Fiu! — zagwizdał cicho. — Wspaniała rzecz, pewnie z tydzień możnaby nie wychodzić od Fukiera za cenę tego cacka.

Ale tak miłe rozważania przerwała mu znowu pokojowa.

— Madame prosi waszą miłość — rzekła, puszczając go przodem.

Minąwszy jedną i drugą komnatę, obrzucając je ciekawymi spojrzeniami, wszedł hrabia do obszernego salonu i tu zobaczył oblubienicę.

— Bon jour, madame — powitał ją z galanterią. — Przybywam od króla jegomości.

— Proszę, usiądź wasza miłość — wskazała mu krzesło madame Hedwige — i mów, co król jegomość kazał ci rzec? Czy przysyła może pismo?

— Nie, król jegomość nie dał mi żadnego pisma — odrzekł drwiąco hrabia, obrzucając krytycznym wzrokiem cyrkumferencję hrabianki — jeno to mi rzec rozkazał, abyś pani wzięła ze mną ślub do trzech dni.

— Czyś waćpan na głowę upadł? — porwała się Strutyńska z miejsca.

— Ja — nie, ale z waszą miłością musiało się wydarzyć coś podobnego, jeno nie z głową.

— Panie hrabio!...

— Słucham cię, madame.

— Proszę opuścić mój dom!

— Zdaje mi się, madame, że nie może to prędko nastąpić. Nie mogę stąd odejść, bo mam rozkaz króla jegomości omówić z panią sprawę naszego małżeństwa!

— Waćpan jesteś szalony!

— Przeciwnie, czuję się jak najzdrowszym na umyśle.

— Każę cię służbie siłą wyrzucić.

— Jeśli pragniesz skandalu — proszę, zrób to. Uprzedzam tylko, iż ci to nic zgoła nie pomoże.

Madame Hedwige aż posiniała z gniewu na taką czelność hrabiego. Była najpewniejsza, że człowiek ten łże, podszywa się pod rozkaz królewski, boć to przecież żadną miarą być nie może, co on mówi, żadną miarą... Łzy gniewu i wściekłości napłynęły jej do oczu.

— Madame — odezwał się znowu hrabia — wprawdzie małżeństwo jest stanem poślednim, jak to powiedział święty Paweł w liście do Koryntian, ale o cóż tu chodzi, gdy ja, ofiara tego małżeństwa, godzę się na nie? Czyż ty, wstępując ze mną w związek małżeński, popełniasz mezalians? Raczej to o mnie tak powiedziećby można. Nie jestem ślepy i widzę dobrze, iż... nie jesteś sama. Biorąc ciebie, osłaniam cię przed plotkami moim starym i cennym nazwiskiem hrabiów Manuzzi. I wierz mi, że przodkowie moi pewnie się tam w grobach wywracają, widząc moje poświęcenie. Ale trudno, czegóż to nie zrobiłbym dla jego królewskiej mości. Więc ukryj gniew i pamiętaj, że ze mną: plus fait douceur que violence.

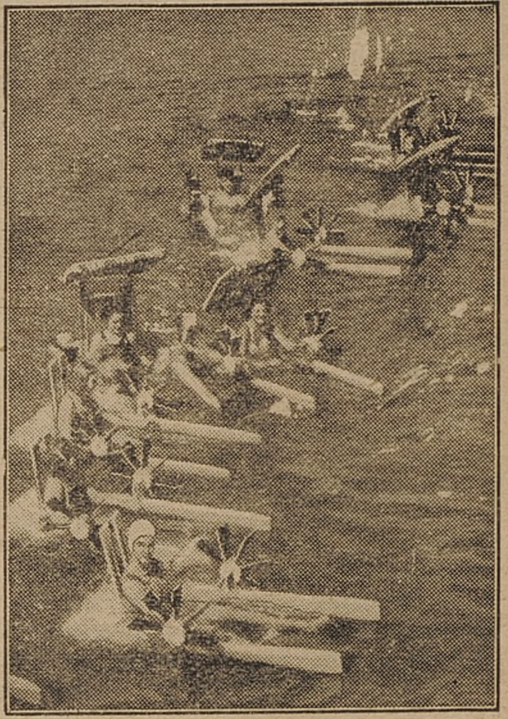
Przekonało to madame Hedwige, iż istotnie — gniewem nie wiele będzie mogła wskórać z upartym hrabią, ale nie mogła nawet na moment uwierzyć w jego opowiadanie, w to, iżby król jegomość w ten sposób pragnął zakończyć ten długotrwały romans z nią. Podobna perspektywa w głowie jej się pomieścić nie mogła.

— Hrabio — rzekła już nieco spokojniej — zechciej mnie dobrze zrozumieć... Wszakże ja nie mogę uwierzyć w to, co mi mówisz — to takie nieprawdopodobne...

— Mniejsza, madame, co ty o tym myślisz, ale ja stąd odejść nie mogę, bo czas nagli. Mam trzy dni terminu i termin ten i ciebie obowiązuje. Przyrzekłem królowi Imci, iż w terminie tym zawrę z tobą związek małżeński i przyrzeczenia tego muszę dotrzymać. Nie odejdę stąd inaczej, jak z twoim słowem, madame...

— Więc masz je, dajęć, ale jeno idź stąd, idź jak najrychlej! — zawołała zrozpaczona madame Hedwige.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



Te pływające krzesła wodne, popędzane widocznym na ilustracji, a ogromnie dowcipnym motorkiem — stanowią najnowszą atrakcję bogatych Amerykanek, spędzających miesiące wakacyj w przepięknej Kalifornii.

# Tajemnica zamkniętego gabinetu

— Pozwoli pan. O czwartej słyszymy telefon w gabinecie i zbiegamy z Downarem. Drzwi są zamknięte. Ponieważ wtedy jeszcze nic nie mogłem przypuszczać, posłałem Downara po Lipińskiego, otworzyłem kluczem zapasowym, stwierdziłem fakt zabójstwa i odrazu zamknąłem drzwi i zbiegłem na dół. Nie miałem jeszcze pojęcia o Makarskim i pierwszym moim zadaniem było czuwanie nad jedynym wyjściem z zamkniętego gmachu. Jednocześnie, mając drzwi wyjściowe na oku — zawiadomiłem was wszystkich. W czasie tego kwadransu morderca otwiera drzwi gabinetu zbrodni swoim kluczem i ukrywa się gdzieś w gmachu. Zaznaczam, że wobec mojej hypotezy o zamiarze pogrążenia Makarskiego, zbrodniarz musiał mieć przygotowany drugi klucz, lub wytrych.

— Więc czemu pan przedtem tak dobijał Makarskiego, którego teraz bronimy, hę?

— To była gra. Proszę spytać Adasia, on mnie dobrze zna i umie patrzeć — ja nie wierzyłem w winę Makarskiego od samego początku. Pan jest lekarzem — czy człowiek normalny, wiedząc że zabił, zostawiłby klucz w swojej kieszeni, zamiast wyrzucić go gdziegolwiek. Czy Makarski — gdyby zabił — nie starłby odcisków palców ze sztyletu ba, nie wyrzuciłby również sztyletu i nie uciekłby do któregokolwiek pokoja, aby tam jakoś wytłumaczyć swoją obecność w banku pod jakimkolwiek pozorem. Czy podawałby tak błahy powód powrotu — jak zostawienie wiecznego pióra?

— Jerzy Makarski mógł być chory umysłowo, lub doznać shoku.

— A ja twierdzę, że on był normalny i gotów jestem zaprzysiąc to przed sądem. Znam się trochę na psychologii, doktorze. Nie, póki Jerzy Makarski żył mogłem go atakować, gdyż chciałem od niego pod presją zgrozy własnego położenia wydobyć tajemnicę Ozyrysa, którą on znał. Teraz, po jego zamordowaniu, jest naszym obowiązkiem moralnym wykryć prawdziwego mordercę.

— Gdzie?

— Tu w gmachu Banku Południowego. Zabójca nie mógł uciec. On tu jest, gdzieś w jakimś pokoju i gotów jest na najgorsze. Człowiek, który zabił i siedzi w stupokojowej klatce, niema już nic do stracenia. Dlatego miejmy się wszyscy na ostrożności — gdyż wokoło grozi śmierć! „Zet" nie mógł wyjść z banku. I on nie wyjdzie!

Ze słów inspektora biła taka siła przekonania i wiary, że obaj sceptycy musieli jej ulec. zresztą bez trudu. Wywód był logiczny i twardy — oparty na doskonałej znajomości psychologii, będącej darem wielkiego psychokryminologa, Bernarda Żbika.

Dr. Dalczewski wrzuszył niechętnie ramionami. Był człowiekiem nawskroś praktycznym.

— Tymczasem przybył mi nowy trup do sekcji. Do licha! Czy ludzie mają naprawdę jakąś przyjemność we wzajemnym ukatrupianiu się? Co teraz.?

— Muszę mieć szybko wynik, doktorze. Proszę pana również o powierzchowne zbadanie tej szklanki z resztkami herbaty.

Lekarz skrzywił się dla fasonu wziął do rąk wskazane objekty, powąchał „posmakował" i wyjął ze swej nieodstępnej walizeczki niezbędne rekwizyty. Potem, ukończywszy swą pracę, spojrzał znów z nieukrywanym podziwem na inspektora i rzekł poprostu:

— Pan ma rację. No, ale ja już idę. Przyślę po ciało.

— Może pan jednocześnie odwiezie mi karafkę i szklankę do ekspertyzy. Proszę im powiedzieć, że ja nalegam na szybkość. Musimy schwytać zbrodniarza najpóźniej w ciągu dzisiejszej nocy.

— Czy nie jesteś zbyt pewny siebie, Sherlocku?

— Wcale. On przecież musi być w gmachu. Więc...

— Życzę szczęścia.

— Dziękuję. Adasiu, odprowadzisz doktora i wrócisz tu z Wielgusem.

Mały wywiadowca zjawił się po kilku minutach. Rzucił tylko okiem na ciało Jerzego Makarskiego i wpatrzył się w surową twarz inspektora Żbika. Wiedział doskonale, że teraz nastąpi tempo, szalone, piekielne, bo...

— Wielgus!

— Słucham, panie inspektorze.

— W tym gmachu przebywa zbrodniarz. Zabił dwie osoby. On nie powinien uciec — w żaden sposób. A uczyni wszystko, aby się wydostać.

— Rozumiem, panie naczelniku. Już my go przypilnujemy. Jak on wygląda?

— Nie wiem. Wiem, że musi tu przebywać. Zawiadomisz Więcka i resztę. Pilnować wszystkich okien — on może przepiłować kraty.

— Przecież rewidowano dom, panie inspektorze.

— To nic nie znaczy. Sto pokoi, korytarz, hall — jeden człowiek obznajmiony z terenem mógł jeszcze znaleźć kryjówkę. Chodzi o to. żeby nie wyszedł, rozumiecie? Już ja go poszukam. Lecz nie mogę na ślepo. Ozyrys...

— Ja pan naczelnik powiedział?

— Nic, Wielgus. Odstąpić i pamiętać.

— Niema obawy. Rodzonego ojca nie wypuścimy.

Wyszedł, zadumany — lecz energiczny, niemal zawzięty. Bo inspektor kazał. Kochany, mądry naczelnik.

Bernard Żbik został sam z Adamem Bilewskim. Był w rosterce. Wprawdzie wierzył szczerze w swój wywód, podyktowany doktorowi i aspirantowi, lecz nie mogło być wykluczonym, że jednak Jerzy Makarski popełnił samobójstwo. Gdyby tu znaleźć jakiś ślad, dowód, toby uprościło sytuację, nadałoby poszukiwaniom charakter, pewność, siłę dowodową.

Wrócił do gabinetu śmierci.

Przedtem poszukiwania były, przyznajmy to — trochę niedbałe, powierzchowne — bo mieli przecież „sprawcę" i dowody. Bernard Żbik nie wierzył wtedy ani jednemu, że jest sprawcą, ani „śladom" — ale fakty zniewalały go do ówczesnego, a nie do obecnego stanowiska. Musiał nacisnąć Makarskiego — teraz stało się to zbyteczne. O, tragizmie „pięknego" życia — trzeba było aż śmierci Jerzego Makarskiego, żeby uwierzyć w jego niewinność. Brudny, wstętny świat... lecz precz z sentymentalizmem filozofii.

Precz! — bo w gmachu przebywa śmierć. Zabójca, który czyhać może z za każdego kąta, w każdej szafie, lub biurku, w tych stu pokojach i siedemnastu korytarzach, także przedsionkach, schodach i w windach. Właśnie... Inspektor aż stracił na chwilę panowanie nad sobą. Przeprowadził przedtem z mundurowcami szczegółową rewizję, lecz nie zbadali dwuch wind. Dużych, przestronnych...

— Adam!

Aspirant znalazł się tuż obok, gotowy, czujny, baczny, nieoceniony — bo nie pytał nic, tylko czekał.

— Nie przeszukaliśmy wind. Chodź.

Zamknął drzwi na klucz, skinął na stojącego za Stefanem na korytarzu policjanta mundurowego i wydał mu krótkie dyspozycje. Nikogo... strzelać — strzelać pierwszy, człowieku, bo ciebie zabiją.

— Tak jest, panie inspektorze. (A w łagodnych oczach „władzy" strach normalny, ludzi konieczny. Ot...)

Piękne schody, marmur, dywany, złocone sztaby poręczy, bogato, przepych, pieniądze — śmierć. Wielka winda główna. Otworzył — pusta.

— Wyjedziesz na górę — a ja sprawdzę dół, dźwig.

— Niepodobna wjechać przy otwartych drzwiach.

— Racja, Adasiu. I niepodobna otworzyć drzwi podczas jazdy, aby winda nie stanęła. Więc on też nie mógł.

Pytające spojrzenie aspiranta.

— On „zet". Jestem zmęczony.

— Wcale nie był zmęczony. Po prostu właśnie... Gdzieś, w jakimś kąciku mózgu, w niepozornej szufladce rejestratora świadomości, tkwiła iskra, pyłek myśli o tragicznej prawdzie. Tam znajdowało się rozwiązanie zagadki. Lecz na razie...

— Idziemy do drugiej windy.

Próżna, ładna, bezduszna pomimo luster.

Ale zbrodniarz — musi być. Nie tu — to gdzieindziej. Wzięli sobie do pomocy mundurowego policjanta i zbadali pokolei wszystkie trzy piętra i... nic... Może gdzieś, za rogiem, o, tam, za jakąś wnęką, we wgłębieniu niszy, czyha człowiek z bronią w ręku — Ozyrys. Nie, to złudzenie, cień. Więc może tam... Za chwilę srzeli, rzuci, — co zrobi...

Wrócili na pierwsze piętro przygnębieni, zdławieni potęgą tamtego — który może istniał tylko w hypotezie Żbika — bo..

— Próżna nadzieja — westchnął aspirant i omal nie cofnął się pod biczującym wzrokiem swego szefa, który jednak natychmiast złagodniał.

— Nie wolno tak mówić oficerowi policji, Adasiu. Każdemu innemu — ale nie nam. Pomożesz mi w dokładnym zbadaniu tego pokoju i gabinetu Makarskiego.

Ujrzał wchodzących sanitaruszy i wspomniał słowa doktora Dalczewskiego: Nadszarpanie nerwów i jedna bezsenna noc więcej. Ba, gdyby on, Żbik umiał tak myśleć. Lecz nie potrafił — niema rady. Był kłębowskiem energii i nie znosił nierozwiązanych problemów. A Ozyrys był wciąż zagadką.

— Można zabrać ciało?

— Tak. Już było rewidowane... przedtem.

Nie wyjaśnił sanitariuszowi, co miał na myśli i zaczekał aż wyszli.

— Teraz..

W głosie inspektora przebijała siła i ogromna zaciętość. Podczas, gdy on oglądał starannie każdy przedmiot, aspirant notował prędko, bo Kodeks Postępowania Karnego i Instrukcja Śledcza też mają swoje wymagania, notabene słuszne. Zbadał dokładnie wszystkie szuflady biurka bankiera, każdy świstek, przedmiot, dywan, ściany, kazał zdjąć gobeliny. Opukiwał, auskultował niczym chorego. Napróżno. To samo powtórzyło się w gabinecie Jerzego Makarskiego.

Bernard Żbik przewertował wszystkie, dosłownie każdą książkę naukową z biblioteki nieszczęsnego amatora-kryminaloga, lecz nie znalazł nic konkretnego. Można się było poprostu wściec. Ta zbrodnia była albo wyliczona z diabelną precyzją — albo... oni mają rację, a hypoteza Żbika to — teoria. Lecz psychologia, ta królowa nauk — dopingowała go do odpędzenia zniechęcenia. Nie wolno opuszczać rąk bezradnie. Spojrzał w pewnej chwili na aspiranta.

— Martwy punkt, Bernardzie.

— Nigdy, Adasiu. Dopiero teraz się zaczyna. Musimy rozpocząć od nowa śledztwo, skrupulatne zawzięte z samozaparciem; kamienia na na kamieniu nie zostawić i znaleźć. Bo mamy nad „zetem" jedną przewagę...

— Jaką?

— Trzymamy go w pułapce. Pamiętaj o niezależnym, odrębnotorowym działaniu jego nerwów. On wie, jeżeli istnieje — a ja jestem tego pewny — że my go stąd nie wypuścimy i to przeświadczenie, ten strach uwięzienia już przed zdemaskowaniem — załamać go musi psychicznie, wcześniej czy później. Jestem gotów z narażeniem własnej kariery ewakuować bank, zaprowadzić stan oblężenia, zagłodzić mordercę — ale muszę go złapać i wykryć. Nie zapomnij o kardynalnej zasadzie moich śledztw, kórej dałem kiedyś wyraz w sprawie „człowieka z Kimberley": Jeżeli fakty materialne popadają w sprzeczność z faktami psychologicznymi — wówczas fakty materialne polegają na złudzeniu.

— Czyli...

— Sfabrykowanym złudzeniem jest odcisk palców, ukartowaną fatamorganą jest klucz w kieszeni Jerzego Makarskiego — on nie mógł tak postąpić. Po co? I mam jeszcze drugi atut, najważniejszy.

— Ozyrys?

— Właśnie. I kobieta, która o nim coś wie. Narzeczona, a może kochanka Jerzego Makarskiego. Adasiu, — idź i przyprowadź Janinę Stokowską, która skłamała, mówiąc, że nie wie nic o Ozyrysie.

W głosie inspektora przebijała stanowczość granicząca z wyraźną groźbą. Aspirant skierował się posłusznie ku drzwiom i w tej chwili w pokoju pogasły wszystkie światła. Jednym skokiem znalazł się inspektor przy telefonie. Rewolwer trzymał w lewej ręce.

W następnej minucie Adam Bilewski ujrzał słup światła z latarki Wielgusa, stojącego w progu na korytarzu.

— Korki się musiały przepalić.

Aspirant chciał coś powiedzieć, gdy nagle poczuł na prawym ramieniu żelazny uścisk palców i usłyszał cichy szept Bernarda Żbika:

— Gdzie zostawiłeś Janinę Stokowską? Jerzy Makarski wiedział o tajemnicy Ozyrysa — i umarł. Prowadź!

Świecąc latarkami, wybiegli niemal na korytarz, zalecając Wielgusowi i policjantowi czuwać przy drzwiach. Adam Bilewski szedł pierwszy w kierunku pokoju, gdzie zostawił Janinę Stokowską. W połowie korytarza zatrzymali się naraz, gdyż znów zapłonęły światła w gmachu Banku Południowego i od dołu dobiegał znajomy głos Kobylańskiego:

— Już naprawione, Wielgus! Krótkie spięcie!

Przed drzwiami z napisem „Rachuba" aspirant zatrzymał się i spokojnie nacisnął klamkę. Jednocześnie przypomniał sobie, że wchodzą przecież do kobiety, i zapukał, lecz z wewnątrz nie rozległo się żadne „proszę", ani „wejść".

— Boże!!!

Bernard Żbik pierwszy wpadł do pokoju, za kręcił kontakt. Pokój był pusty. Janina Stokowska zniknęła...

Lecz o wiele więcej, niż fakt zniknięcia kobiety, wpłynęło na aspiranta jedno słowo Bernarda Żbika:

— Nareszcie...

## XII.

## Na martwym punkcie

Zniknęła — i znała tajemnicę Ozyrysa lub jej część. Jakże to logiczne i konsekwentne... z punktu widzenia... „Ozyrysa“ — zastanowił się inspektor. — Najpierw zakłuł Stokowskiego, przygotował w podwójny sposób śmierć Jerzego Makarskiego i teraz przewidział, że Janina Stokowska może zacząć mówić, gdy dowie się o śmierci ukochanego — i nie ma jej.

Może wyszła na chwilę. Jako córka dyrektora, znała rozkład budynku. Może udała się do domu?...

Bernard Żbik spojrzał na aspiranta, który wyrzekł te słowa.

— Po co odsuwać prawdę, Adasiu, udawać, że jej nie widzimy, — tak postępują tylko ludzie słabego ducha. Przecież nikt nie wypuścił Janiny Stokowskiej. I to zgaśnięcie świateł w tym gmachu — labiryncie. Wiesz, jak się powoduje krótkie spięcie. Wystarczy wykręcić którąkolwiek żarówkę i dotknąć kontaktów jakimś metalowym przedmiotem. Każdy uczniak wie o tym. Czemu nie znałby tego sposobu on.

— Kto?

— Zet.

Adam Bilewski milczał, zdenerwowany. Poczuwał się do odpowiedzialności za fakt, że pomimo braku wyraźnego rozkazu, on, na własną odpowiedzialność nie zostawił Janiny pod asystą. Ale skąd mógł wtedy przypuszczać, że Jerzy Makarski zostanie zabity i że... Głowa go rozbolała. Zegarek wskazywał dziesiątą. Sześć godzin, a tyle już wydarzeń. Wczoraj, o tej porze właśnie, ujrzeli na balu Erazma Stokowskiego. A dziś — Stokowski...

Bernard Żbik zachował spokój wprost niesamowity. Zniknięcie Janiny ani na sekundę nie przypisywał przypadkowi, wiedział, że był on błyskawicznie uplanowanym i konsekwentnie przeprowadzonym posunięciem w akcji obronnej... Ozyrysa — tak nazwał zbrodniarza w myśli. A pomimo to inspektor nie stracił zimnej krwi, nie wszczął alarmu i nie pchnął wszystkich ludzi na poszukiwanie Janiny Stokowskiej. Przecież on sam przed tym dwukrotnie przeszukał ogromny gmach banku i nie znalazł zbrodniarza, który jednak musiał się w gmachu znajdować.

Inspektor powiedział tylko: „nareszcie“. Nareszcie miał dowód słuszności swej tezy i słów Jerzego Makarskiego. „Zet“ przebywał w Banku Południowym — zabił Stokowskiego; włożył klucz do kieszeni Makarskiego, uśpił go, sfabrykował odciski jego palców — ostatni fakt nie graniczy nawet ze strefą niemożliwości: wystarczy wręczyć odpowiednio spreparowany (najlepiej lekko otłuszczony i zaraz potem mocno wytarty) przedmiot osobie, której odciski palców chcemy otrzymać, potem już ten negatyw należycie ochroni od zniszczenia śladów i — uderzył, trzymając sztylet zręcznie przez jedwabną chusteczkę. Jerzy Makarski musiał sobie ten zabieg przypomnieć — gdy powiedział: „zaraz... zaraz... Zdaje mi się..., że zrozumiałem...“ Ale gdy mówił te słowa jad trucizny z wypitej filiżanki wody już działał..

Niewiadomo, czy zeznanie Makarskiego miałoby jakąś wartość dowodową. Zbrodniarz musiał o tym wiedzieć i zaasekurował się znakomicie. Jego adwokat napewno podważy tezę Żbika, nazwie ją urojeniem, zbytnią gorliwością naszej policji... Lecz to na razie niema znaczenia. Janina Stokowska zniknęła, światło zgasło — co razem nie oddaje zbrodniarza w ręce sprawiedliwości...

— Czemuś się tak zamyślił?

— Głupia sytuacja — stwierdził Żbik, powoli odzyskując równowagę ducha. — Wiem, że morderca dwóch ludzi przebywa w tym domu i teoretycznie cała sprawa nie powinna przedstawiać trudności. Wystarczy zażądać z inspekcji budowlanej plan gmachu i sprowadzić tyle policjantów, ile tu jest ubikacyj. W każdym pokoju umieścić policjanta, przewertować wszystkie kąty, zbadać korytarze i inne pomieszczenia i ująć przerażonego draba, jakim musi być w tej chwili. Aresztować go i iść do domu spać. Proste, nieprawdaż?

— Zupełnie dobry pomysł — ucieszył się aspirant. — Krótko, węzłowato i efektownie, jak na inspektora Bernarda Żbika przystało.. Nie zgadza się wprawdzie z prądem oszczędności, stosowanym ostatnio w resorsie ministerstwa spraw wewnętrznych, któremu podlegamy — ale skoro trzeba, to nie ma rady. Naczelnik napewo zaakceptuje twój plan.

— Mam szerokie pełnomocnictwa i nie muszę nawet zasięgać specjalnego zezwolenia naczelnika. Odpowiadam moją osobą za wszystko, co czynię, lecz zaniecham tego efektownego tricku.

— Dlaczego to?

— Bo on do niczego nie doprowadzi. Możesz się ze mnie śmiać...

— Nigdy...

— Bez przesady, Adasiu. Powtarzam, wolno ci się śmiać — ale ja, jestem przekonany, że nawet najszczegółowsza, już trzecia rewizja — nie wykarze niczego.

— Ponieważ?

— Ta zbrodnia jest dokonana z premedytacją i wykonana z wyliczeniem każdego szczegółu, a zatem i z przewidzeniem ewentualności rewizji. „Zet“ musiał wziąć pod uwagę nawet mój trick z rewizją. Masz najlepszy dowód — rewidowaliśmy już dwa razy i nic.

— Nie myślisz wcale o Janinie Stokowskiej.

— Myślenie ma to do siebie, że jest niewidoczne. „Zet“ porwał — to dość romantycznie brzmi — Janinę Stokowską i ukrył ją gdzieś, może nawet zabił, bo trupa łatwiej ukryć niż żywego.

— A my nic?

— Adasiu, obowiązkiem detektywa jest zimna krew. Oficer śledczy, który powoli wyprowadzić się z równowagi — jest skończonym. Ja wiem, to może brzmieć niesympatycznie — kiedy tak spokojnie mówię o śmierci młodej kobiety — czy muszę jednak szaleć, histeryzować, bić głową o ścianę itepe. Poco?...

— Lecz przecież..

— Przyznaję, że sprawa jest głupia i niesamowita, które to cechy często idą w parze. Trudno, nie mogę w cudowny sposób błyszczeć domyślnością, nie potrafię wyczarować mordercy à la średniowieczna inkwizycja i pozostaje mi rutyna, doświadczenie, wiedza i nadzieja, że wkońcu jakieś anomalie skierują moją inteligencję na właściwy tor. Pozostaje więc szablon.

— Czyli? rozłożył ręce aspirant. Był zdezorientowany i „nie poznawał“ inspektora Żbika. Pierwszy raz w czasie rzległej służby zdarzyło się, że Bernard Żbik decydował się na szablonową robotę, którą można powierzyć zwykłemu przodownikowi. Ale był to dopiero początek niespodzianki.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

## *Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie*

**Niedziela, dnia 4 lipca 1937 r.**

8.00 Audycja poranna. 9.00 Regionalna transmisja z Chełmna: a) nabożeństwo, b) reportaż 11.20 Muzyka rozrywkowa — płyty 12.03 „Dzień letni" — poranek muzyczny 13.10 Koncert rozrywkowy 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Koncert (transmisja z parku z parku w Nałęczowie) 17.00 „Oczepiny" — słuchowisko regionalne 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie 20.00 Piosenki greckie i bułgarskie — płyty 21.00 „Pod dachami Warszawy" — Wesoła Syrena 22.00 Recital skrzypcowy Szymona Goldberga 22.30 Pieśni Adolfa Jesdena.

**Poniedziałek, dnia 5 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Marsze artystyczne — płyty 12.40 Audycja poświęcona rzemiosłu drukarskiemu 16.00 „Gdy wielcy ludzie byli mali" — Mały Korsykanin" 16.15 Utwory fortepianowe na 4 ręce 16.45 „Tajemniczy człowiek — pułkownik Lawrence" — felieton 17.00 Koncert Ork. Filharm. Warszawskiej 18.05 Chór Dana i Orkiestra Eugeniusza Wolffa — płyty 19.00 Audycja żołnierska 19.40 Pływactwo polskie na przełomie 20.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert w setną rocznicę urodzin Wł. Żeleńskiego.

**Wtorek, dnia 6 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert Orkiestry Wojskowej 16.00 „Czym jest twój tatuś — pilotem linii lotniczej" 16.20 Mandoliny i ksylofon — płyty 16.45 „O najdziwniejszej puszczy w Polsce" — felieton 17.00 Koncert w setną rocznicę urodzin Wł. Żeleńskiego 18.15 Serenady instrumentalne i wokalne — płyty 19.00 „Medycy i ich chorzy w krzywym zwierciadle humoru" — wesoły dialog 19.15 1 audycja z cyklu „Symfonie Beethovena" — płyty 20.00 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Ork. Wileńskiej 22.00 Pieśni węgierskie w wyk. Bela Csoka 22.30 Muzyka węgierska.

**Środa, dnia 7 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert w wyk. Łódzkiej Orkiestry Salonowej 16.00 „Religijność Orzeszkowej a czasy nasze" — szkic lit. 16.15 Pieśni śląskie Jana Gawlasa 16.45 Psychologia żołnierza w literaturze polskiej — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 „Buduję własny dom — pierwsze kroki" — felieton 18.15 Oktet J. H. Squire'a i Stefan Witas (płyty) 19.00 Słynni dyrygenci — 12 audycja — Karol Muck i Walter Straram 20.00 Iluzje — koncert Krakowskiego Kwartetu Schrammla 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Z. Rabcewiczowej 22.00 Muzyka lekka i taneczna.

**Czwartek, dnia 8 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego. Transmisja z parku Zdrojowego w Nałęczowie 16.15 Recital fortepianowy Olgi Łapickiej (Z Krakowa) 16.45 „Jak zostawić mieszkanie na lato" — gawęda 17.00 1000 Taktów muzyki w wyk. zesp.: St. Rachonia 18.15 Wiązanki charakterystyczne (płyty) 19.00 Słuchowisko Jalu Kurka pt. „Śpiew o Bośni" 20.00 Muzyka lekka i taneczna (ze Lwowa) 22.00 Płyty dla znawców.

**Piątek, dnia 9 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra mandolinistów im. St. Moniuszki 16.15 Koncert rozrywkowy 16.45 Reportaż Romana Zrębowicza z Wystawy Paryskiej 17.00 Koncert z Ciechocinka 18.10 Muzyka lekka 19.00 Rapsodia Debussy'ego 19.20 Recital śpiewaczy Eedo Karrisoo 20.00 Z fali na falę — audycja w układzie St. Roya 21.00 Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej 21.45 „Lublin" — poemat J. Czechowicza 22.00 Koncert solistów.

**Sobota, dnia 10 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert orkiestry wojskowej 16.00 Słuchowisko dla dzieci „Wyprawa pod psem" 16.30 Mniej znane uwertury 17.30 Audycja konkursowa 17.50 Taternik z aparatem fotograficznym — pogadanka 18.15 Miliza Korjus i Herbert Ernest Groh (płyty) 19.00 Pieśni ludowe Ziemi Wileńskiej 20.00 „Szlakiem piosenki wielkopolskiej". Audycja dla Polaków z zagranicy 21.05 Wieczór operetkowy.

# HUMOR

### MAŁA OMYŁKA

Pewna dama z prowincji zajechała po przybyciu do stolicy, do eleganckiego hotelu i zażądała pokoju. Kiedy otworzono przed nią drzwi, wykrzyknęła oburzona:

— Co to, to nie, moi państwo! Nie myślcie, że zapłacę tylko taki malutki pokoik z takim krótkim łóżkiem polowym!

— Ależ, proszę pani, to jeszcze nie pani pokój tylko hotelowa winda! — odparł z godnością windziarz.

### DOBRALI SIĘ

— Po co masz zrobiony węzeł na chustce?

— Żona mi go zawiązała, żebym nie zapomniał wrzucić jej listu do skrzynki.

— Wrzuciłeś już?

— Nie, bo zapomniała mi go dać!

### WYJĄTKOWA TEŚCIOWA

Do którego zięcia wyjeżdża pani Pytelska, do tego, który jest w Poznaniu, czy do tego, który mieszka w Łodzi?

— Nie wiem, wiem tylko, że jeden pragnąłby ją widzieć w Łodzi, a drugi w Poznaniu.

— To wyjątkowa teściowa, że każdy ją chce mieć u siebie.

— Jakiś ty naiwny, przecież właśnie zięć z Poznania pragnie ją widzieć w Łodzi i odwrotnie.

### PEWNY HANDEL

— Przepraszam pana dziedzica — zaczepia przechodnia jakiś dość podejrzanie wyglądający młodzieniec koło głównego dworca w Warszawie — czy nie chciałby pan dziedzic kupić zegarka?

— Niech pan pokaże...

— No, jeszcze go niby nie mam w ręku, ale obejszeć toby go mógł pan dziedzic u tamtego grubego pana w kieszeni.

### RÓŻNICA

— Jaka jest różnica między spekulacją a transakcją handlową?

— Jeśli się przy transakcji handlowej traci pieniądze, jest to spekulacja.

### ZŁOŚLIWOŚĆ

— Jerzy oświadczył się cztery razy, zanim przyjęłam jego prośbę.

— Tak? A kim były inne dziewczyny?

### KOSTIUM PLAŻOWY

— Mężu, proszę mi przynieść papierośnicę. Jest w torebce.

— Nie potrzeba, kupimy papierosy na plaży.

— Widzisz, chodzi o to, że zostawiłam w papierośnicy mój kostium kąpielowy.

### DLACZEGO

— Mamusiu, dlaczego panna młoda nosi zawsze białą sukienkę?

— To jest oznaką radości.

— A dlaczego pan młody jest zawsze ubrany na czarno?

— Ach, przestań ciągle zadawać te nieznośne pytania, ty głupi chłopcze!

### TOASTY

Narodowość każdego człowieka można poznać po toaście, jaki wznosi przy wypiciu.

— Za moją miłość — mówi Francuz.

Amerykanin:

— Za mój pierwszy milion!

Anglik:

— Za potęgę Imperium!

A Polak?

Polak nic nie mówi, tylko pije...

### DYPLOMACJA MAŁŻEŃSKA

— Przestań że się dąsać. Kto ci powiedział, że już cię nie kocham?

— Nikt mi nie mówił. Rozum mi dyktuje, że tak źle ubranej kobiety nie możesz już kochać.

### POCIESZYŁ GO

Pan Milifker jako ajent podróżujący jest w drodze. Zatrzymawszy się za interesami w Łodzi, przesiedział tam trzy dni w hotelu i zabiera się dalej. Na wychodnem portier, oczekujący na napiwek, zatrzymuje go w drzwiach i mówi:

— Panie Milifker, czy o mnie pan już całkiem zapomniał?

— Ależ nie, kochany panie, już jutro lub pojutrze otrzyma pan ode mnie pocztówkę z Warszawy.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

**P. L. K. Bydgoszcz.** Z nadesłanych łamigłówek przeznaczyliśmy do druku „Kwadrat magiczny". Reszta zadań opracowana słabo. Jak najuprzejmiej prosimy Pana o dalszą współpracę i pozdrawiamy.



Jak wielki człowiek może się przestraszyć własnego cienia...


PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a preumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJĄ Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz a zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie